

NAUKA • BADANIA • KULTURA

Rok XXXIII (L) / nr 3–4 (417)
kwiecień 2024 / cena 5 zł
ISSN 1230-9710
Ukazuje się od 1952 roku

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

Prof. dr hab. Andrzej Tretyn
wybrany na rektora UMK

s. 6



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU

25 Majowy BUUM Poetycki 2024

Akademickie Centrum Kultury i Sztuki Od Nowa

Toruń, 20-23 maja 2024

LITERATURA
SZTUKI PLASTYCZNE
MUZYKA
FILM



Ogłoszenie wyników konkursu poetyckiego
Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Głos na stronie

Komu, komu – może być nawet z dostawą do domu? Komu doktorat, habilitację, a może dyplom MBA? Niedrogo. Dziś nadzwyczajna promocja. Płacisz za dwa dyplomy – trzeci gratis!!! I jeszcze możemy zaoferować różne ścieżki: miesięczną, dwumiesięczną, kwartalną; z dojeżdżaniem na uczelnię i zdalną (dla osób, którym czasu brak).

Jakie czasy, taki papier. Kiedyś namiętnie oferowano odpusty. Jak ktoś miał ochotę (i stać go było), mógł dokupić jakieś relikwie, na przykład szczebel z drabiny, która przysniła się Jakubowi, ostatnie tchnienie (w butelce) któregoś ze świętych.

W nieco młodszych czasach (ale słusznie minionych) dla głodnych dyplomu „swoich” był Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu i Leninizmu, zwany w skrócie „wumlem”. Doczekaliśmy się także wersji współczesnej w postaci Collegium Humanum.

Można by sobie tak dowcipkować, dworować, gdyby nie to, że rzeczywistość dogoniła kabaret. Z drugiej strony kabaret powinien być śmieszny, a tu po chwilowym rechocie śmiać się już człowiekowi nie chce, bo niby z czego? Nie śmiejemy się przecież ze sportowców, którzy starują na doping. A tu mamy coś takiego – przecież ci cudowni absolwenci nie kupowali dyplomów, by się nimi pochwalić wśród znajomych, by taki certyfikat powiesić sobie w gabinecie lub nad łóżkiem. Oni z tym na przykład „embijem” gnali co sił na posady, by „kasę trzepać”.

I robi się poważnie, bo na mój gust to trąci kryminałem (i powinno!). Wyobraźcie sobie Państwo,



że ktoś na bazarku kupuje dyplom ukończenia studiów na kierunku lekarskim wraz z innymi stosownymi dokumentami i po jakimś niedługim czasie otwiera gabinet, zaczyna praktykować. Powie ktoś, że tu szkoda jest nieporównywalnie większa, bo dotyczy ludzkiego zdrowia, a może nawet życia. Prawda! Ale czy publiczny grosz (i to olbrzymi) nie jest wart troski?

Coś z tym fantem (a raczej z tą patologią) zrobić trzeba i to szybko. Szemrane uczelnie, szemrane kierunki (w tym mnożące się jak przysłowiowe grzyby po deszczu – także lekarskie – bez zaplecza klinicznego, kadry, niekiedy nawet biblioteki, z negatywnymi opiniami PKA) już zaczynają rodzić zatrute owoce.

Na chłopski rozum reakcja powinna być szybka i skuteczna: wczasy za kratami zarówno dla handlarzy lewymi dyplomami, jak i dla tych, którzy je kupują i na rynku pracy na nie się powołują. To po prostu poświadczenie nieprawdy.

Winicjusz Schulz

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”



Gramy razem!

s. 6–12



Był sobie wilk, podobno zły

s. 17–22



Pięknie oddany pracy pisarskiej

s. 13–10



Ciało człowieka

s. 31–34

NAUKA • BADANIA • KULTURA
**GŁOS
UCZELNI**

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marcin Lutomiński, Maurycy Męczekalski, Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa

Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Marek Jurgowiak, Nikodem Pręgowski, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski.

Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



Zapomniane nowalijki

s. 38–41



Chłopiec i czapla

s. 61–64



KLAMRA

s. 71–76

Głos na stronie	3
Gramy razem!	6
Pięknie oddany pracy pisarskiej	13
Był sobie wilk, podobno zły	17
Nowy cement kostny	23
Lata świetlne	25
Ciało człowieka	31
Wsparcie żywieniowe w trakcie nauki	35
Zapomniane nowalijki	38
Małoletni w rodzinie	42
Fenomen sekstantu	42
Zagadki tradycji wielkanocnych w Polsce	47
Tradycje wetykodnie (wielkanocne) Ukrainy Słobodzkiej	51
Uniwersytecki zodiak	57
Chłopiec i czapla	61
Ulotne tematy	65
Pięć procent	69
KLAMRA, czyli o toruńskiej miłości do teatru alternatywnego	71



Gramy razem!

Z rektorem-elektem UMK prof. dr. hab. Andrzejem Tretynem
rozmawia Winicjusz Schulz

- 12 marca 2024 roku wieczorem wszystko stało się jasne – został Pan rektorem-elektem UMK. A kiedy zrodził się pomysł, by stanąć do rywalizacji o tę godność?

- Chyba nie było takiego jednego momentu... Pierwszy impuls przyszedł, gdy podczas spaceru po Nowym Jorku trafiłem na Rector Street. Zrobiłem sobie nawet takie nieco żartobliwe zdjęcie i kilka osób dość entuzjastycznie skomentowało je w mediach społecznościowych.

Drugi taki impuls – już mocniejszy, przyszedł 2 października 2023 roku. W dniu inauguracji roku akademickiego w drzwiach Auli UMK spotkałem Radka Sojaka. Zapytałem, go czy to przypadek, a on odpowiedział: „Mam nadzieję, że nie”. I wtedy pomyślałem sobie, że nie tylko mam energię i siłę, by podjąć wyzwanie, ale może się też okazać, że będę w stanie zachęcić do współpracy grono młodych ludzi, którym bardzo zależy na dobru UMK i są gotowi do intensywnej pracy na rzecz uczelni.

- Za decyzją zawsze stoją argumenty – dlaczego? Co należało do tych najważniejszych, które skłoniły Pana do kandydowania?

- Przestałem być rektorem i natychmiast zacząłem dostrzegać różne deficyty uczelni. Nie widać ich z rektoratu, ale doskwierają wielu pracownikom.

Ale najbardziej przeszkadzał mi brak otwartej komunikacji.

Inna sprawa, że zacząłem się niepokoić o różne moje projekty. Naprawdę wiele wysiłku i lobbingu kosztowało nas zdobycie tytułu uczelni badawczej i trochę bolało, gdy dostrzegłem jak niejasno zarządza się tym projektem i jak staje się on źródłem podziałów, a nie tworzenia prawdziwej wspólnoty akademickiej. Nie mogłem też zrozumieć, jak niewątpliwy sukces psychologii i weterynarii można przedstawiać jako obciążenie dla uczelni. No i trudno mi było uwierzyć w tak nagłe tąpnięcie uniwersyteckich finansów.

- Jak zareagowali najbliżsi? Była to reakcja w rodzaju: „Andrzeju, ale po co Ci to, przecież już dwa razy byłeś rektorem” czy jednak „Andrzej musisz!”?

- Oj, najbliżsi pytali oczywiście „po co ci to?”. Ale też, gdy już decyzja zapadła, wspierali mnie na każdym kroku. Bez ich pomocy i wsparcia ten sukces nie byłby możliwy.

- No i ostro zabraliście się do dzieła. Przyznam, że niejeden polityk i PR-owiec może się od Was uczyć prowadzenia kampanii. Staraliście się dotrzeć do społeczności akademickiej wszystkimi kanałami informacyjnymi: od tradycyjnych spotkań po wielowątkową obecność w sieci. Czyje to były pomysły?



sły? Mieliście takich własnych spin doktorów czy za wszystkim stał tylko TretynTeam?

– Cała kampania to praca TretynTeam. A czy mieliśmy spin doktorów? W pewnym sensie każdy z członków zespołu w jakimś wymiarze zmienił się w spin doktora. Ci młodzi ludzie po prostu wykorzystywali swoje bogate doświadczenie, żeby zbudować sieć dobrej i skutecznej komunikacji z całą wspólnotą uniwersytetu. Używali też swoich kontaktów, bo przecież ulotki, filmy, strony internetowe, listy do społeczności akademickiej nie zrobiły się same. To były ich pomysły, realizowane konsekwentnie przez cały okres kampanii. Szczególnie imponowała mi Magda Barwiotek, która 'ogarnęła' media społecznościowe i uczyła nas poruszania się w tej społecznościowej przestrzeni z podziwu godnym uporem i mimo oporności niektórych uczniów.

– I co teraz z perspektywy wygranej kampanii wydaje się najbardziej efektywnym narzędziem wyborczym?

– Mimo ważnej obecności w mediach społecznościowych czy wykorzystywania innych nowoczesnych narzędzi, najważniejsze były jednak spotkania. Nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu. Na wszystkie spotkania przyszliśmy w komplecie. Chcieliśmy pokazać, że na takim kontakcie nam zależy i szanuje-

my poświęcony nam czas. W połowie tych spotkań właściwie zrezygnowałem już z ogólnych wprowadzeń do naszego programu, bo zorientowaliśmy się, że najważniejsze są i tak pytania i dyskusja. Mimo to, żadne z naszych spotkań nie trwało krócej niż dwie godziny i dwadzieścia minut! Odbyliśmy łącznie ponad 20 spotkań w Toruniu i Bydgoszczy, zawsze poświęcając naszym rozmówcom tyle czasu, ile było niezbędne. Nie chcieliśmy, by ktokolwiek wyszedł z naszych spotkań, nie usłyszawszy odpowiedzi.

Ale oprócz tego niesłychanie ważne były także kanały komunikacji w Internecie. Możliwość zadawania pytań przez stronę internetową i Facebooka. Miło było patrzeć na statystyki odwiedzin i zorientować się, ile osób obejrzało na przykład nasze filmy. Zresztą planujemy dalej korzystać z tych narzędzi w naszej komunikacji ze społecznością uniwersytetu.

– A które argumenty wydają się teraz najbardziej trafne i przysporzyły elektorskich głosów?

– Sporo merytorycznych argumentów odgrywało rolę, ale jednak najważniejsza chyba była gra zespołowa TretynTeam. Udało nam się pokazać, że naprawdę jesteśmy drużyną, że się po prostu lubimy. Po spotkaniach często gratulowano nam pozytywnej energii. Nawet wtedy, kiedy w trakcie dyskusji wychodziły jakieś różnice zdań. Druga kwestia to jednak wizja odmłodzenia zespołu zarządzającego uczelnią. Chociaż nie o sam wiek chyba tu chodzi, ale raczej o wiarygodną obietnicę zmian. Dużo osób





na uczelni oczekiwało chyba, że po prostu „coś się zmieni”. Po trzecie, zawsze uczciwie odpowiadaliśmy na pytania – nawet te najtrudniejsze, wprost komunikując nawet niepopularne decyzje. Szczerość jest ważnym narzędziem budowania zaufania we wspólnocie.

– Trzeba przyznać, że na samym początku Pańska decyzja wprowadziła sporo zamieszania. Wydawało się, że scenariusz rektorski jest już znany. Gdy kończył Pan poprzednią kadencję jako rektor schedę po Panu przejął ówczesny prorektor prof. Andrzej Sokala. Teraz wszystko wskazywało na to, że scenariusz się powtórzy: u rektora Sokali pierwszym zastępcą był prorektor prof. Wojciech Wysota. Taki proces ewolucyjny, który Pan – nomen omen biolog – zaburzył.

– Jako biolog wiem też, że czasami proces ewolucji wymaga drobnego zaburzenia. Zresztą wcale nie wydaje mi się, żeby dotychczasowy model sukcesji można było porównać do ewolucji. To raczej taki model dynastyczny oparty na namaszczeniu. I to udało nam się rzeczywiście zaburzyć. Choć w pewnej kwestii zapewniliśmy jednak ciągłość – nadal Andrzej będzie rektorem. Ale to już chyba ostatni raz...

– **Od początku wysłał Pan sygnał, że do rywalizacji staje zespół, ale mający niekwestionowanego lidera: TretynTeam. Nie kryje Pan swej miłości do rocka, więc i ja nie będę krył porównań jakie mi przyszły do głowy: Steve Miller Band, Alan Parsons Project,**

The Allman Brothers Band (no w tym ostatnim przypadku bracia). Lider daje rozpoznawalny szyld, ideę, a reszta? Roger Waters na pewnym etapie dziejów Pink Floyd nie bardzo już słuchał kolegów. Pozostańmy przy muzycznych konotacjach – ten TretynTeam był tylko na potrzeby kampanii wyborczej, a teraz będzie już demokratyczny zespół, w którym każdy ma sporo do powiedzenia?

– Od 50 lat słucham rocka i czerpię z niego natchnienie. Zawsze nad solistów stawiałem zespoły z wyrazistym liderem. Byłem na koncercie Rogera Watersa, ale nie wypadł tak dobrze jak za czasów, gdy był członkiem wspomnianego Pink Floyd. Podobnie było z Robertem Plantem, byłym członkiem zespołu Led Zeppelin. The Doors dobrze brzmieły, gdy liderem był Jim Morrison. Choć po jego śmierci zespół przetrwał i nagrał jeszcze dwie płyty to nie spotkały się one z dużym zainteresowaniem.

Co do zespołu, mojego zespołu, to każda z wybranych osób TretynTeam ma jasno sprecyzowane zadania, każda może się wykazać w danym obszarze odpowiednim doświadczeniem i kompetencjami. Dlatego gramy razem.

– **Z drugiej jednak strony TretynTeam to bardzo eksperymentalny zespół – lider ma bogate doświadczenia na rektorskim stanowisku, ale reszta ekipy to debiutanci na rektorskim szczeblu zarządzania. A na tym szczeblu odpowiedzialności i wyzwań cze-**

ka sporo. Da Pan reszcie ekipy czasem uczyć się na błędach czy raczej w takich sytuacjach – jak ten patron – będzie Pan wkraczał i mówił: nie tędy droga!

– Przez ostatnie pół roku sporo nauczyliśmy się od siebie. Trudno też powiedzieć, żeby mój zespół nie miał doświadczenia. Część z nich współpracuje przecież z prorektorami na co dzień, uczestniczy w spotkaniach, podejmowaniu rozmaitych decyzji. Inna sprawa, że przecież każdy prorektor kiedyś zaczynał. To są bardzo zaangażowani ludzie, na różnych poziomach złożoności instytucji podejmujący decyzje, sprawni organizatorzy. A co więcej, postanowiłem – a społeczność uniwersytetu nam w takiej konfiguracji zaufała – postawić na powrót do sprawdzonych wzorów. Połączyliśmy kompetencje prorektor ds. studenckich i kształcenia – tu po akceptacji środowisk studenckich i doktoranckich proponujemy Monikę Wałachowską. Wraca stanowisko prorektora ds. i kadrowych i polityki finansowej – musimy szczególnie o tę ostatnią kwestię zadbać. Rolę tę pełnić ma Radosław Sojak. Nowością jest także prorektorka ds. promocji (na pierwszym miejscu) i współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym – i tę funkcję chcę powierzyć Joannie Kucharzewskiej. Ważnym obszarem naszej aktywności musi być wzmocnienie umiędzynarodowienia – za to z kolei odpowiedzialność weźmie Magdalena Barwiołek jako prorektorka ds. kontaktów międzynarodowych. I wreszcie – last but not least – Adam Kola, jako bodajże pierwszy humanista, filolog w roli prorektora ds. nauki i mojego pierwszego zastępcy,

kierujący do tej pory z sukcesem Centrum Doskonałości IMSErt. Jest to więc połączenie sprawdzonych rozwiązań i tych zupełnie nowych, co w pełni odpowiada dynamice Tretynteam.

– A przy okazji postawił Pan na młodość. W rektorskiej ekipie nie ma nikogo z Pańskiego pokolenia. To chyba też będzie wyzwanie dla... Pana – zrozumieć, wczuć się w nieco inne oczekiwania, inny sposób patrzenia na rzeczywistość, świat, a nawet czas.

– Nie przesadzajmy. Moja żona jest z tej samej generacji i nie mamy problemów ze zrozumieniem i dobrym kontaktem już od ponad 30 lat. A mamy za sobą także wspólne doświadczenia zawodowe. Jasne – trzeba się do pewnych rzeczy przyzwyczaić. Niektórzy wolą pracować rano, inni nocą. Czasami trzeba się trochę zatrzymać, żeby mieć pewność i pełne zrozumienie. Ale to chyba jednak bardziej kwestia indywidualnych osobowości, a nie jakichś międzypokoleniowych barier. Uniwersytet przecież z założenia przełamuje bariery – to właśnie tu przecież współpracują młodzi studenci i studentki, doktorantki i doktoranci oraz doświadczeni pracownicy. Ten międzygeneracyjny transfer, swoista sztafeta pokoleń jest sednem naszej pracy. Tak tworzy się prawdziwą wspólnotę.

– A propos wieku: podczas spotkania wyborczego padało wiele uwag dotyczących „starzejącego się” uniwersytetu. Mówiono, że UMK to taki „uniwersytet 55+”. Jak go odmłodzić?



– To jedno z najważniejszych wyzwań, które stoi przed nami, coś z czego w pełni zdaliśmy sobie sprawę w trakcie kampanii i kolejnych spotkań. Jeśli w tej chwili nie zatroszczymy się o środowiska studenckie i doktoranckie oraz młodą kadrę naukową, to za kilka lat okaże się, że przepaść pokoleniowa będzie trudna do zasypania. Możemy utracić ciągłość międzygeneracyjną, a raz utracona będzie trudna do odbudowania. Dlatego jednym z najważniejszych zadań np. w obszarze nauki jest takie przygotowanie wniosku o nowy IDUB, by wspierać właśnie młodych. A dla całej uczelni najważniejsze jest odbudowanie zaufania ze strony środowisk studenckich i doktoranckich – nasza misją jest wszak kształcenie, zaś spadająca liczba osób studiujących w UMK jest nie tylko kwestią demograficzną. I traktujemy to wyzwanie jako nasz priorytet. Zatem odmładzamy uniwersytet na wiele sposobów.

– Ale jak to zrobić, nie raniąc starej, doświadczonej kadry, by nie poczuła się niepotrzebna, wysłana do lamusa?

– Z perspektywy osoby znacznie starszej od moich zastępców mogę odpowiedzialnie powiedzieć, że taki stały, roboczy kontakt z osobami znacznie młodszymi może dawać wiele satysfakcji. Jest taki odświeżający. Siłą uczelni jest właśnie jej wielopokoleniowa perspektywa – w naszej wspólnotce jest miejsce dla wszystkich, chcemy być – i o tym mówimy od początku naszej kampanii i wprost w programie TretynTeam – inkluzywni.

– Częstymi pytaniami kierowanymi do Pana i Pańskiego kontrkandydata były te związane z Collegium Medicum. Dyskusja o tym, jak powinny wyglądać relacje między toruńskim kampusem a bydgoskim, trwa już 20 lat. Padały przeróżne argumenty, pomysły i większość (no może poza tymi stricte politycznymi) była słuszna. Każdy miał poczucie, że ma rację, a temat wciąż wraca. To jak to będzie teraz?

– Teraz musi być inaczej. Stawiamy na symetrię. Będziemy zabiegać o inwestycje przede wszystkim w Collegium Medicum, bowiem to właśnie campus bydgoski wymaga silnego impulsu rozwojowego: nowoczesnych przestrzeni dydaktycznych, bazy badawczej i klinicznej, ale też np. parkingu. Zmienia się kontekst społeczno-polityczny. Wyciszyły się już dawne spory i zakusy separatystyczne, a w Col-



Fot. nadesłana

legium do głosu dochodzą pracownicy, którzy niekoniecznie pamiętają czasy odrębnej Akademii Medycznej. Oni są od początku związani z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika. Z obu stron jest chyba gotowość do przekroczenia dawnych sporów. Stąd wprowadzenie do mojego zespołu młodych ludzi, dla których budowanie mostów jest ważniejsze niż stare podziały.

– Trzeba także pamiętać, że siła jest w całości. A ta całość ma status uczelni badawczej. Co zrobić jeszcze trzeba, by nie wypaść z elity?

– Mamy jasno sprecyzowany pomysł, w jaki sposób uczelnia badawcza ma mieć charakter włączający. IDUB musi być oparty na priorytetowych obszarach badawczych – tak funkcjonują wszystkie tego rodzaju projekty na całym świecie. Ale zarazem najważniejsze dla nas jest, by IDUB był mechanizmem włączającym również tych, którzy do tej pory nie mieli szansy skorzystać z tego dobrego, co nam przyniósł. A nie zapominajmy, że mówimy o niebagatelnej kwocie prawie 220 milionów złotych na

6 lat i stabilnej subwencji. Na poziomie wskaźników nasz IDUB dobrze wypada, ale nie wykorzystaliśmy wystarczająco szansy na wsparcie np. zaplecza grantowego czy projektowego na naszej uczelni. W niewystarczającym stopniu wspieramy administrację w rozwoju – a to jest ważny element budowania wspólnoty nowoczesnej uczelni. O kwestii włączania młodych ludzi już mówiłem.

– Ale sama przynależność do krajowej elity to za mało. Gdy mówi się o umiędzynarodowieniu potrzebny jest mocny szyld – rozpoznawalny w Europie, a nawet świecie. Bez tego nikt z liczących się badaczy do nas nie zawita, do międzynarodowych zespołów badawczych nie zaprosi. Mam wrażenie, że w na polskich uczelniach sporo się mówi o umiędzynarodowieniu, ale jest to temat niezbyt lubiany, może nawet trudny. Może to postawienie na młodość coś zmieni?

– Umiędzynarodowienia jest dziś niezbędnym elementem funkcjonowania nowoczesnego uniwersytetu. Może być remedium na spadającą liczbę studentów. Wymaga jednak naszego zaangażowania i aktywnej roli w pozyskiwaniu studentów – także z tych kierunków, w których do tej pory nie szukaliśmy. Ale umiędzynarodowienie musi oznaczać również to w zakresie badań naukowych – udało nam się poprawić w zakresie współautorskich z naukowcami z zagranicy publikacji, a to dzięki finansowaniu IDUB. Teraz musimy położyć większy nacisk na sprecyzowania naszych partnerstw strategicznych – nie tylko tych w zakresie YUFE i YERUN, dobrze wykorzystując te szanse, ale także innych kierunków globalnej współpracy.

– Ostatnio jednym z modnych tematów, nie tylko w nauce, jest sztuczna inteligencja. Nie uciekniemy od niej. A jak zmieni ona UMK? Rewolucja jest przecież tuż za drzwiami.

– Dlatego stawiamy na instytucjonalizację informatyki w UMK. Nie może być nowoczesnej uczelni badawczej, która chce być częścią międzynarodowego obiegu naukowego, bez badań z zakresu AI. A mamy w tym zakresie dobre tradycje – trzeba je wykorzystać. Tak jak rozwój infrastruktury w Collegium Medicum jest ważny po stronie bydgoskiej, tak też rozwój badań informatycznych i nad sztuczną inteligencją jest naszym priorytetem rozwojowym po stronie toruńskiej.

– Ekspertki szacują, że ok. 40 procent profesji zostanie zmarginalizowanych lub wręcz stanie się zbędnych. Jak może to wpłynąć na ofertę kształcenia UMK?

– W tym kontekście coraz ważniejsze stają się miękkie umiejętności i wykształcenie interdyscyplinarne. Kluczowa jest zdolność do adaptacji. Nie przewidzimy przecież dokładnie, jakie umiejętności będą za 20, 30 lat kluczowe na rynku. Pewna jest tylko zmiana. Wygrają więc ci, którzy będą dobrze przygotowani do odnalezienia się w nowych realiach.

– No to dotknijmy raz jeszcze przyszłości. Jest 1 września 2024 roku. Wchodzi Pan do gabinetu rektora UMK. Po kurtuazyjnych powitaniach co Pan na ten dzień jeszcze planuje? A co na dni kolejne? Jakie będą pierwsze decyzje nowego rektora?

– Po wejściu do gabinetu sprawdzę przede wszystkim, czy kwiaty są podlane. Potem zobaczę, czy działa stare hasło na komputerze i poproszę o poczwórne espresso. Potem oprowadzę swoich zastępców po przydzielonych im gabinetach. Później zaczniemy pierwsze posiedzenie kolegium rektorskiego. Podczas tego posiedzenia zajmiemy się przede wszystkim oceną stanu finansowego uczelni, stanem prac nad przyspieszeniem wypłaty studenckich stypendiów i przygotowaniem do sprawnego przeprowadzenia inauguracji.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia Andrzej Romański

Prof. dr hab. Andrzej Tretyn został wybrany rektorem UMK na kadencję 2024–2028. Rektor-elekt przejmie najwyższe stanowisko w uczelni 1 września 2024 r. To będzie już jego trzecia kadencja na tym stanowisku (prof. Andrzej Tretyn kierował Uniwersytetem w latach 2012–2020).

Spotkanie wyborcze odbyło się 12 marca w auli UMK. Wzięło w nim udział także 248 elektorów (246 oddało ważne głosy). Na prof. dr. hab. Andrzeja Tretyna głosowało 142 elektorów, na jego kontrkandydata – prof. dr. hab. Wojciecha Wysotę – 104. (w)



Pięknie oddany pracy pisarskiej

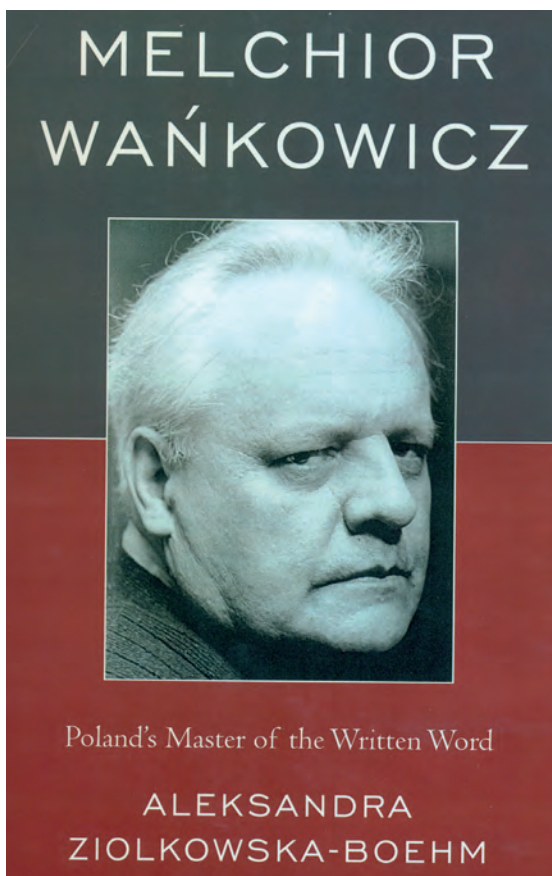
Z dr Aleksandrą Ziółkowską-Boehm o Melchiorze Wańkowiczu
rozmawia dr Marcin Lutomiński

– Jak to się stało, że zaczęła Pani pracować dla Melchiora Wańkowicza?

– Byłam studentką filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, na czwartym roku jako temat pracy magisterskiej wybrałam twórczość Melchiora Wańkowicza. Zastanawiałam się także nad Zofią Kossak-Szczucką, ale wybrałam autora *Ziela na kraterze*, którego książki mój Tata miał w swojej bibliotece, także wydania emigracyjne, które zdobywał różnymi sposobami.

Po lekturze książek, po napisaniu wymaganych tzw. prac zaliczeniowych, wysłałam do niego list do Warszawy. Napisałam, między innymi, że mam pewne pytania dotyczące jego twórczości, czy mógłby mi pomóc w ich odpowiedzi. Dostałam list zapraszający mnie do Warszawy. Był maj 1972 roku.

Zgłosiłam się punktualnie na ulicę Puławską 10 (na rogu Rakowieckiej, naprzeciwko ówczesnego kina „Moskwa”); zadzwoniłam do mieszkania nr 35. Było to piąte piętro dużej kamienicy, na które wchodziło się pieszo, bo winda dojeżdżała na czwarte.



Jedna z książek Aleksandry Ziolkowskiej-Boehm o Wańkowiczu. 2013 (fot. nadesłana)



Melchior Wańkowicz pod Monte Cassino (fot. nadesłana)

Otworzył mi pan z rozwianą długą czupryną siwych włosów, nieszczupły. Powiedział, że nie ma więcej niż 45–60 minut. Ma kłopoty ze zdrowiem i skupia się na nowej książce.

– Czytała pani moje książki? – spytał. – Oczywiście, odpowiedziałam, wszystkie. – Naprawdę? – popatrzył na mnie uważnie. – Czasami przychodzą studenci, którzy nie czytali żadnej mojej książki. – Mam kilka prac zaliczeniowych, odpowiedziałam. – Proszę pokazać... Siedziałam przy stolyczku, gosposia (Marta Karaban, o której pisał w *Zielu na kraterze*) podała kawę i ciasteczka. Patrzyłam na zegarek, z godziny zostało 15 minut. Tymczasem Wańkowicz odłożył moje prace, i powiedział: umie pani myśleć krytycznie, o niektórych sprawach już jakby zapomniałem.

Zaczęła się rozmowa. Niebawem poprosił, by zostać do kolejnego dnia, czyli do niedzieli. Były targi książki i miał podpisywać swoje książki przed Pałacem Kultury. – Zapraszam panią, by mi towarzyszyła.

Zadzwoił do akademika, aby mi zamówić nocleg. Opowiadał o swoich perypetiach z książką, która się ukazała pod tytułem *Wojna i pióro*. Mówił, jakie miał problemy z jej wydaniem. Słuchałam z ogromną ciekawością, oszołomiona, ujęta ogromnie, że mi poświęca cały wieczór. Mówił też o planach nowej książki, w której chciał napisać o procesie pisania, perypetiach związanych ze zbieraniem materiałów, punktach widzenia, itd. W czasie tego wieczoru Wańkowicz zaproponował, abym wyszukiwała mu materiał do powstającej książki. Abym była – jak powiedział – jego researcherką. – Ale pani przyjechała, by porozmawiać o pracy magisterskiej. Pożyczam pani jedną z teczek swojego archiwum. Niech pani poczyta, wykorzysta do pisania...

Wielki dowód zaufania, prawda?... I tak się zaczęło. Czytałam pamiętniki, dzienniki, biografie, by wyszukać materiał dotyczący różnych metod pisania. Jak różni pisarze układali sobie rytm pracy. Np. Ernest Hemingway wstawał wcześniej rano i pisał na stojąco przy pulpicie. Lubił zapach suszonych jabłek.

Przywoziłam Wańkowiczowi materiał, zabierałam kolejne teczki jego archiwum do domu. Napisałam pracę magisterską (promotorem był prof. Zdzisław Skwarczyński), obroniłam. Niebawem zaproponowano mi pisanie doktoratu. Wańkowicz się ucieszył. – Chcę cię zatrudnić u siebie. Będziesz pisać, otworzysz przewód na Uniwersytecie Warszawskim – powiedział.

Zadzwoił do prof. Juliana Krzyżanowskiego, ten się zgodził mnie wziąć pod opiekę naukową. (Po jego śmierci przejęła ją prof. Janina Kulczycka-Saloni). I tak się zaczęło.

- Na czym polegała ta praca?

- Trwało zbieranie materiałów do książki na temat procesu pisania, która dostała tytuł *Karafka La Fontaine'a*; powstały dwa tomy. Drugi tom zdedykował mi: „Pani mgr Aleksandrze Ziółkowskiej, bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”... Dowcipne, prawda?

A jednocześnie: jaki to zaszczyt mieć umieszczoną w książce dedykację od wielkiego pisarza. A także... kolejny piękny gest. Pisarz przed operacją napisał testament, w którym zapisał mi swoje archiwum „na własność”. To dotyczyło także *copyright* archiwum, ale nigdy nie skorzystałam z tego.

Odpisywałam na listy, które czytelnicy mu licznie przysyłali. Czytałam rozdział po rozdziale – na gorąco, gdy książka powstawała. Pisarz oczekiwał uwag. Gdybym zdawkowo pochwaliła, odpowiedziałby: Po co cię zatrudniam?

- Czy mogłaby Pani powiedzieć coś więcej o zapisanym Pani w testamencie archiwum pisarza? Gdzie ono się znajduje i co zawiera?

- W swoim testamencie (adwokatem był Stanisław Szczuka) oficjalnie zapisał mi „na własność” swoje archiwum. Część materiałów – czysto archiwalnych (np. poprawiane ręcznie maszynopisy książek) przekazał kilka lat wcześniej do Ossolineum. Do mnie należy np. zbiór recenzji dotyczący każdego tytułu, korespondencja, m.in. od czytelników, liczne wywiady, eseje.

Archiwum znajduje się w moim warszawskim mieszkaniu na Mokotowie (które po wyjściu za mąż i zamieszkaniu w Stanach na mnie czeka. Wracam do siebie).

- *Blisko Wańkowicza* to Pani pierwsza książka. Jak powstawała? Jak została przyjęta?

- Po śmierci pisarza zwrócił się mnie dyrektor Wydawnictwa Literackiego Andrzej Kurz, który powiedział: – Proszę napisać swoje wspomnienia z pracy..., jak pani szybko napisze, to szybko wydamy.



Melchior Wańkowicz i Aleksandra Ziółkowska (fot. nadesłana)

W ciągu sześciu miesięcy napisałam *Blisko Wańkowicza*. Tytuł mi wymyślił Ryszard Kapuściński. – Musi być Wańkowicz w tytule..., „obok” – nie, napisz: „blisko”. Książka miała cztery wydania, każde 30 tysięcy nakładu; cieszyła się dużym powodzeniem. Jako przykład: „Tygodnik Powszechny” (20 czerwca 1976) dał na pierwszej stronie taką notę. Odpowiedź na minikonkurs *Jak zdobyłem bestseller*: „Aleksandry Ziółkowskiej *Blisko Wańkowicza* zdobyłem dzięki znajomemu z pracy. Jego znajomy – pracownik Domu Książki – przez znajomego zatrudnionego przy rozdziale książek załatwił z kolei u znajomego księgarza z terenu jeden egzemplarz spod lady. A wszystko udało się dlatego, że ten pierwszy znajomy otrzymuje ode mnie w tym roku po przeczytaniu kolejne numery TP – czując się zobowiązany, uruchomił łańcuszek znajomości”.

Później ukazały się moje kolejne książki poświęcone Wańkowiczowi: *Na tropach Wańkowicza*, *Na tropach Wańkowicza po latach*, *Proces Melchiora Wańkowicza 1964 roku*. (Maciej Łuczak przywołał tę książkę w: *A imię jego 34. Postępowanie karne wobec sygnatariuszy Listu 34 i popierających go pisarzy* (Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Wydawnictw Naukowe Scholar, Warszawa 1922); *Wokół Wańkowicza* (2019).

Z moim wstępem i opracowaniem ukazały się omówienia korespondencji pisarza: Melchior i Krystyna Wańkowiczowie (1993); z Jerzym Giedroyciem (2000); Zofia i Melchior Wańkowiczowie (dwa tomy, 2004).

W języku angielskim w Stanach Zjednoczonych ukazała się moja książka *Melchior Wańkowicz Poland's Master of the Written Word* (2013). Niebawem ma być opublikowane tłumaczenie Wańkowicza *Bitwy o Monte Cassino* (tłumaczem jest prof. Charles Kraszew-



Aleksandra Ziółkowska i Melchior Wańkowicz w Oborach k. Warszawy, 1972 (fot. nadesłana)

ski, tłumaczenie sponsorowało Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce).

- Obecnie w naszym wydawnictwie uniwersyteckim jest przygotowywana do druku Pani książka *Melchior Wańkowicz – przypominany*. Dlaczego zdecydowała się Pani opublikować ją właśnie tu?



„Tygodnik Powszechny” (fot. nadesłana)

- Wspomnę najpierw, że napisałam w tytule słowo „przypominany”, bo trzeba go przypominać. Minęło 50 lat od śmierci pisarza, należy jego książki wznawiać. Np. z *Ziela na kraterze* powinien powstać film. Książki, jak *Szczenięce lata* i *Ziele na kraterze*, powinny być na stałe w lekturach szkolnych.

A Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu jest znane z interesujących publikacji i nada mojej nowej książce dobrego, popularnonaukowego, charakteru.

- Czym ta książka będzie się różnić od wcześniejszych?

- Patrę z dystansem, korzystam z różnych źródeł (np. z IPN), omawiam ogólnie życie i twórczość, wybrane tytuły omawiam bliżej. Chcę nią zachęcić młodych czytelników, by zainteresowali się niezwykle ciekawym życiem i wielką piękną twórczością pisarza.

- Jak zapamiętała Pani autora *Ziela na kraterze*?

- Jako pięknie oddanego pracy pisarskiej. Jak mówił: pisanie to postanowienie sobie, że się jest utalentowanym, to przede wszystkim – praca. Mającego – mimo choroby, dolegliwości zdrowotnych – wciąż ochotę na żarty i dowcipy. Nie przygnębiał domowników swoim stanem. Patrzył na swoje i innych życie krytycznie, ale ze zrozumieniem. Podkreślał, że są „różne punkty widzenia”, doceniał pracę i oddanie jej. Dostrzegał dobro i szlachetność.

- Dziękuję za rozmowę.

Dr Aleksandra Ziółkowska-Boehm – autorka kilkunastu książek, stypendystka m.in. amerykańskiej Fundacji Fulbrighta, Institute of International Education, kanadyjskiego Ministerstwa Kultury Ontario, nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej. Laureatka konkursów literackich i czytelniczych. Wśród jej książek są m.in. publikacje poświęcone życiu i twórczości Melchiora Wańkowicza (autor zapisał jej swoje archiwum i zadedykował drugi tom *Karafki La Fontaine'a*).

Był sobie wilk, podobno zły

Z dr. hab. inż. Piotrem Sewerniakiem, prof. UMK z Katedry Gleboznawstwa i Kształtowania Krajobrazu Wydziału Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej UMK rozmawia Wojciech Streich

- Studiował Pan geografię na UMK w drugiej połowie lat 90. Skąd zainteresowania tą dziedziną?

- Przyrodą interesowałem się od dziecka. Rodzice, którzy są geografami, zaszczepiali mi przyrodnicze pasje, w tym zainteresowania geograficzne.

- Wśród Pańskich specjalności naukowych – obok gleboznawstwa, hodowli i ekologii lasu – istnieje też ekologia wilka. Od wieków zwierzę to budzi duże emocje wśród ludzi. Dlaczego tak się dzieje?

- Po pierwsze, dziko żyjące wilki, a szerzej duże drapieżniki, stanowią konkurencję dla człowieka, je-

żeli chodzi o użytkowanie dziko żyjących zwierząt kopytnych, a z drugiej strony od wieków wilki atakują zwierzęta hodowane przez człowieka, np. owce czy krowy. Wilk zawsze fascynował człowieka, bo jest to zwierzę inteligentne, żyjące w grupach rodzinnych, których organizacja socjalna jest zbliżona do grup rodzinnych ludzkich i pomimo tego, że przez wiele wieków był tępiony przez człowieka zdołał przetrwać; opór tego gatunku budzi wręcz szacunek i podziw.

Tak jak już mówiłem, wilk jest zwierzęciem inteligentnym, sprytnym, elastycznym w środowisku, potrafiącym przystosować się do różnych okoliczności, co też upodabnia go do nas. Jednocześnie



pamiętajmy też o tym, że fascynacja człowieka wilkiem uzewnętrzniła się tym, że wilk został udomowiony i od tysięcy lat żyje obok człowieka jako pies domowy, służąc człowiekowi do różnych celów np. pasterstwa. Warto przypomnieć, że pies to udomowiony wilk i pod względem genetycznym jest prawie taki sam.

- Od kilkunastu lat mówi i pisze się o stałym pobycie wilków w naszym regionie.

- Z wilkiem jest o tyle ciekawa sytuacja, że mniej więcej do lat 80. ubiegłego wieku nie prowadzono badań naukowych z nim związanych, tylko przyjęto paradygmat, że „wilk jest szkodliwy i należy go tępić”. Natomiast badania, które zaczęły się pojawiać od lat 80. pokazały, że jest to zwierzę pożyteczne i pełni wiele ważnych funkcji w ekosystemach, nie tylko leśnych. Ta wiedza o pozytywach obecności wilka zaczęła docierać do decydentów, co zaowocowało, że w roku 1998 drapieżnik ten stał się zwierzęciem ściśle chronionym w Polsce i nie można na niego polować; mamy wyraźny progres zasięgu występowania wilka, a także wzrost jego liczebności. Okazuje się, że jednym z pierwszych regionów, które zostały zrekolonizowane - z tradycyjnych ostoi drapieżnika we wschodnich częściach kraju - były okolice Torunia. Zwierzęta te pojawiły się tutaj już w pierwszych latach obecnego wieku, a więc niedługo po objęciu ich ochroną.

Obecnie w podtoruńskich lasach mamy kilka watah wilków, łącznie jest to kilkadziesiąt drapież-

ników. Przy czym jeżeli chodzi o liczebność, to sprawa nie jest taka prosta, gdyż jest to gatunek skryty i trudno określić dokładną liczbę osobników. Poza tym liczebność ta wykazuje dynamikę sezonową - latem mamy trzony watah (najczęściej 7-8 wilków), które wychowują potomstwo, a zimą, kiedy do grup rodzinnych dołączają młode, migrujące osobniki, możemy natknąć się w bezpośrednim sąsiedztwie Torunia na grupę liczącą nawet kilkanaście wilków.

- Gdzie one bytują i w jakiej liczbie?

- Obecnie wilki występują we wszystkich większych lasach w naszym kraju, a jeżeli chodzi o okolice Torunia, to mamy kilka watah w Puszczy Bydgoskiej i w lasach dobrzejewickich. Okresowo drapieżniki te występują także w lasach nadleśnictwa Toruń, położonych na północ od miasta, a więc Barbarki i jej okolic.

- W jaki sposób wilki polują?

- Wilk jest oportunistą pokarmowym, a więc poluje na te zwierzęta, które są najłatwiejsze do złapania. Badania pokazują, że w odniesieniu do dzikich zwierząt kopytnych, wilki pełnią rolę selekcyjną - polują zwykle na osobniki najstarsze, np. chore czy osłabione przez inny czynnik, np. postrzelone przez myśliwych lub uderzone przez samochód. Polują różnie w zależności od pory roku, czyli - w okresie letnim częściej polują pojedynczo lub w kilka osobników, bo wtedy łapią często młode jelenie (cielaki jelenia), natomiast w okresie zimowym polują zwykle w dużych grupach, ponieważ cielaki są już podrośnięte (rodzą się na przełomie wiosny i lata) i w pojedynkę trudne do złapania. Natomiast, tak jak wspominałem, jest to rola selekcyjna i wilki przez swoją działalność poprawiają kondycję populacji swoich ofiar. W tym kontekście wpływają one znacznie korzystniej na populację dzikich kopytnych niż myśliwi. Co prawda oni też starają się wykonywać rolę selekcyjną, jednak wiemy, że we współczesnym łowiectwie ważną rolę odgrywa niestety również chęć zdobycia jak najcenniejszego i prestiżowego trofeum. W konsekwencji dużą część wykonywanych odstrzałów stanowią polowania na najmocniejsze byki jelenia, cechujące się okazałym porożem, co wpływa na osłabianie populacji. Natomiast wilki w warunkach nizinnych bardzo rzadko polują na dorosłe byki jelenia. Częściej to robią w górach, kiedy na skutek zmiennej temperatury

w okolicach zera stopni, tworzy się zmarznięta skorupa na powierzchni śniegu. W takich warunkach najcięższe zwierzęta, czyli zwykle największe byki, zapadają się w śniegu, natomiast wilki swobodnie poruszają się na jego powierzchni.

- Czy populacja wilka rośnie w naszym regionie czy jest to raczej stała liczba?

- W pierwszych latach po rekolonizacji w lasach pod Toruniem mieliśmy wzrost liczebności, kiedy watahy dopiero się kształtowały, natomiast od ok. 10 lat liczebność wilka jest mniej więcej stała. Wynika to w dużej mierze z biologii gatunku, wilk jest zwierzęciem terytorialnym i każde terytorium grupy rodzinnej wilków zajmuje w warunkach Niżu Polskiego zwykle 200-250 kilometrów kwadratowych. Każda grupa rodzinna broni swojego terytorium wytwarzając mechanizm, który przeciwdziała przegęszczeniu drapieżników.

- Część leśników uważa, że wilków jest za dużo w Polsce i że są zagrożeniem dla saren i jeleni? Co Pan o tym sądzi?

- Nigdy wcześniej w historii Europy Środkowej nie mieliśmy tak dużego zagęszczenia dzikich kopytnych w lasach, jak to ma miejsce obecnie. Wilków mamy w Polsce ok. 3500, jeleni ok. 300 000, a saren ok. 1 000 000 (!). Od czasu objęcia ochroną wilka, jego liczebność w Polsce wzrasta, ale, co ciekawe,

zwiększyła się w tym czasie także liczebność jeleniowatych, a także liczba tych zwierząt odstrzeliwana przez myśliwych. Okazuje się zatem, że dzikich kopytnych wystarcza zarówno dla myśliwych, jak i dla wilków. Presja drapieżnicza wilka w dłuższym okresie może spowodować jednak zmniejszenie zagęszczenia zwierząt kopytnych w lasach do stanów względnie naturalnych, co pociągnie za sobą redukcję szkód powodowanych przez jeleniowate. Wilk więc, tak naprawdę, jest sprzymierzeńcem leśników. Obecnie w polskich lasach prowadzi się przebudowę monokultur iglastych na lasy z większym udziałem gatunków liściastych. Młode drzewka liściaste są chętnie zgryzane przez roślinożerców, więc leśnicy bardzo często zmuszeni są je chronić, stosując np. grodzenia. Stała obecność wilków w lasach, jako naturalnych regulatorów zagęszczeń dzikich kopytnych, może sprawić, że ponoszenie kosztów tych prac ochronnych nie będzie potrzebne.

- Wróćmy do pracy naukowca, jak wygląda tropienie wilka w lesie?

- W swoich badaniach nad wilkiem skupiam się na terenie Puszczy Bydgoskiej, szczególnie jej wschodniej części. Polegają one m.in. na regularnie prowadzonych tropieniach i obserwacjach żyjącej tu grupy rodzinnej drapieżników. Pozwala to na bieżące monitorowanie struktury społecznej tej grupy, wykorzystania przestrzennego zajmowanego terytorium, czy prowadzenie analizy ofiar wilków



pod względem gatunku, płci i wieku. Z obserwacji bezpośrednich najbardziej cenię sobie spokojne i długie spotkania z całą grupą rodzinną wilków, która, nie wiedząc o mojej obecności, prowadzi normalne codzienne życie. Takie spotkania dają dużo informacji nie tylko na temat behawioru wilka, lecz także pozwalają prześledzić status poszczególnych osobników w grupie, a nawet ich aktualny stan zdrowotny. Prowadzone badania są cenne nie tylko pod względem naukowym, lecz także przyczyniają się do ochrony drapieżników w regionie. Na przykład, materiały gromadzone w naszym Uniwersytecie w dużym stopniu przyczyniły się do ustalenia sprawcy, jedyne jak dotąd, wykrytego w okolicach Torunia przypadku kłusownictwa na wilka. Była to bardzo poważna strata dla lokalnej populacji, gdyż zastrzelona została doświadczona wadera, która przez kilka lat wydawała potomstwo na terenie poligonu toruńskiego. Fakt, że wilki są intensywnie monitorowane we wschodniej części Puszczy Bydgoskiej z pewnością zniechęca potencjalnych kłusowników do zabijania ich na tym terenie.

- Na co szczególnie trzeba zwracać uwagę, aby regularnie spotykać wilki w lesie?

- Jest wiele pozornie drobnych kwestii, których uwzględnienie zwiększa szansę na spotkanie, np. dobranie i odpowiednie postępowanie ze strojem czy maksymalne wyeliminowanie zapachów miasta

(np. nieużywanie jakichkolwiek kosmetyków przed wyjściem do lasu). Kluczowa jest jednak bardzo dobra znajomość terenu oraz zwyczajów konkretnej grupy rodzinnej wilków, którą się bada. Lasy pod Toruniem penetruję od dziecka. Czasem się śmieję, że w kwestii zwierząt leśnych, to od ponad 30 lat wykonuję wciąż prawie to samo, ale kiedyś robiłem to w ramach potępianych wagarów ze szkoły, a teraz w ramach cennych badań naukowych. Są dni, że już przy wysiadaniu z samochodu wiem, że w sąsiedztwie są wilki i będzie ciekawie. Często nie wiem nawet świadomie, z czego wynika takie przekonanie. Pewnie procentuje tu doświadczenie, ale i jest w tym wszystkim coś więcej, coś nieuchwytnego, co wykracza poza „szkiełko i oko” naukowca. Generalnie uważam, że praca z przyrodą powinna odbywać się „na dwóch nogach”. Pierwsza z nich to cały aparat poznawczy, jaki daje współczesna nauka, zaś druga nawiązuje do relacji z przyrodą – m.in. do zachwytu nad jej pięknem oraz szacunku dla jej złożoności i jej tajemnic.

- W jakim stopniu wykorzystuje Pan wyniki prowadzonych badań do celów dydaktycznych?

- Prowadzę szereg wykładów w Uniwersytecie, podczas których prezentuję te wyniki. Referaty dotyczące wilków przedstawiam także regularnie przy różnych innych okazjach, np. w szkołach czy na konferencjach. Kilka lat temu zostałem zaproszony



z zamawianym referatem, dotyczącym sytuacji wilka w Polsce, na konferencję organizowaną przez niemieckich myśliwych. Po wygłoszeniu wykładu odniosłem jednak wrażenie, że publika była zawiedziona, bo oczekiwała raczej przekazu o wilku jako szkodniku, na którego trzeba znów zacząć polować. W takich przypadkach szczególnie przydają się nagrania konkretnych sytuacji z terenu (staram się zawsze nosić przy sobie małą kamerę), stanowiące silne argumenty dowodzące prawdziwości przedstawianych tez. Na przykład, podczas referatów często przedstawiam stopklatki przedstawiające wilka i łanię (samice jelenia), które wiedząc o swojej obecności, spokojnie przebywają w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie. Scena ta podważa absurdalny, lecz w niektórych środowiskach wciąż głoszony pogląd, że wilki po pojawieniu się w danym lesie ganiają wszystkie kopytne, dopóki nie wybiją ich co do nogi.

- *Canis lupus* migruje często, np. korytarzami ekologicznymi. Skąd naukowcy znają ich szlaki? W jaki sposób to badają?

- Korytarze ekologiczne wytyczono na podstawie obserwacji zwierząt, a także przesłanek środowiskowych predysponujących teren do migracji (np. wysoka lesistość, obecność większych lub mniejszych cieków wodnych). Najnowsze badania pokazują jednak, że wilki migrują tak jak im się podoba, przecinając całą Polskę, a nawet duże części Europy, wzdłuż i w szersz, trochę kpiąc sobie ze wspomnianych korytarzy. Wiadomo to z badań drapieźników, którym udało się zamontować obroże z nadajnikiem GPS i GSM. Najślawniejsza taka migracja miała miejsce kilkanaście lat temu, kiedy Niemcom udało się złapać młodego basiora (samca wilka), który wkrótce po założeniu obroży przez około półtora miesiąca przeszedł ponad 1000 kilometrów, zataczając półkole w północnej Polsce, następnie przedostał się na Białoruś, a potem na Litwę. Tam ślad po nim zaginął, prawdopodobnie został zastrzelony, gdyż w obu tych krajach na wilki się poluje.

Młode wilki chcąc się rozmnażać muszą opuścić swoją watahę rodzicielską i zacząć migrować, szukając po pierwsze innego młodego migrującego wilka przeciwnej płci, a po drugie jeszcze niezajętego obszaru przez inne wilki. Kiedy te dwa warunki się spełnią, wtedy zakładają swoją grupę rodzinną, wydają potomstwo i zaczynają tam funkcjonować.

Sporo tych młodych zwierząt obecnie migruje przez całą Europę; są to nierzadko wędrówki bardzo odległe: jeszcze 20 lat temu naukowcom wydawało, że może to być 100, 150 kilometrów, teraz okazuje się, że potrafią one migrować nawet na więcej niż tysiąc kilometrów. Migrując pokonują różnego rodzaju przeszkody, nawet przepływają rzeki – np. pokonanie Wisły nie jest dla nich dużym problemem, szczególnie w okresie letnim, kiedy poziom wody jest często niski.

- Jaka jest przyszłość wilka w Polsce, czy są rzetelne prognozy? Co mówią na ten temat badacze?

- Od wielu lat w Polsce i innych krajach toczy się dyskusja, czy przywrócić odstrzały na wilka, czy tego nie robić. W świetle swoich badań uważam, że obecnie nie ma racjonalnych powodów, aby przywrócić regularne polowania na ten gatunek. Pamiętajmy o tym, że wilki są zwierzętami o silnie rozwiniętym systemie nerwowym i potrafiącymi nawiązywać silne relacje w grupach rodzinnych. Tak więc ewentualna decyzja o powrocie do zabijania wilków powinna być podjęta wyłącznie na podstawie bardzo mocnych argumentów.

- Jakie to mogłyby być argumenty?

- Przede wszystkim powtarzające się ataki na ludzi. W dyskusji o przyszłości wilka podnosi się także kwestię konkurencyjności jego drapieżnictwa w stosunku do interesu myśliwych oraz ataki na zwierzęta gospodarskie. Pierwsza z tych kwestii, na co zwracałem już uwagę, nie ma obecnie tak naprawdę znaczenia. Bardziej istotne są natomiast lokalne straty hodowców związane z atakami wilków, za co wypłacane są jednak odszkodowania. Nie jest natomiast tajemnicą, że polowania myśliwskie, w tym te na wilki, są dobrym interesem. Uważam jednak, że współczesne społeczeństwo nigdy nie powinno zgodzić się na zabijanie wilków, jeśli celem miałyby być rozrywka, uzyskanie prestiżowego trofeum czy zyski z organizacji polowań.

- Czy wilki mogą być zagrożeniem dla ludzi, na przykład podczas wypraw do lasu?

- Wilk jest dużym drapieżnikiem i potencjalnie może stanowić zagrożenie. Teoretycznie mógłby bardzo łatwo człowieka upolować, jednak w rzeczywistości ataki wilków na ludzi zdarzają się w Euro-

pie niezwykle rzadko. Rozpoznanie poszczególnych przypadków tego typu najczęściej wskazuje na to, że dany osobnik utracił antropofobię ze względu na jego przetrzymywanie (najczęściej jako szczeniaka) przez człowieka. Taki wilk kojarzy potem człowieka z jedzeniem i potrafi zachodzić np. na pola biwakowe w poszukiwaniu pożywienia, co może skończyć się ukąszeniem. Spotygam wilki regularnie – często są to spotkania bardzo bliskie, w odległości kilkunastu, a nawet kilku metrów, w ciągu dnia i w nocy, kiedy zwierzęta są dużo bardziej pewne siebie – i nigdy nie zauważyłem oznak jakiegokolwiek agresji z ich strony. Oczywiście, nie wiadomo, jak wilki będą się zachowywać w stosunku do człowieka w przyszłości, więc podczas spotkań z nimi zawsze należy zachować ostrożność. Obecnie jednak znacznie większym zagrożeniem dla człowieka przebywającego w lesie są zagubione kule myśliwych niż wilk, gdyż co roku ludzie giną lub są ranieni od kul myśliwych, natomiast w ostatnich dekadach nie było w Polsce żadnych poważnych ataków wilka na człowieka

– Gdy patrzy się na tematy Pańskich prac doktorskiej i habilitacyjnej oraz tematy publikacji, widać, że Pana zainteresowania skupiają się głównie wokół gleboznawstwa leśnego, hodowli, gospodarki

i ekologii lasu. Czy ekologia wilka jest może taką trochę ukrywaną pasją?

– W badaniach wilków nie mam ambicji tworzenia wysoko punktowanych publikacji. Chodzi przede wszystkim o bieżące monitorowanie lokalnej populacji i reagowanie w sytuacjach występowania zagrożeń. Ważne jest również to, że dobrze znając i obserwując regularnie określone grupy rodzinne, jestem w stanie zebrać materiał, który podważa utarte, lecz nieprawdziwe stereotypy o tych drapieżnikach. Pod niektórymi względami (np. rozpoznanie dynamiki składu watah, losy poszczególnych osobników) populacja wilka we wschodniej części Puszczy Bydgoskiej należy do najlepiej rozpoznanych w skali kraju. Wilk jest jednak zwierzęciem trudnym do badania, chociażby ze względu na swoją płochliwość, i wiedza ta jest wciąż jedynie fragmentaryczna. To jednak dobrze, że zwierzę to wciąż posiada swoje tajemnice. Zaznacza to jego dumną niezależność od gatunku *Homo sapiens*, a jednocześnie daje człowiekowi pole do pasjonującej działalności, aby choć maleńką część tych tajemnic odkrywać.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia Piotr Sewerniak





Dr hab. Justyna Kozłowska, prof. UMK

Fot. Andrzej Romański

Nowy cement kostny

Któż z nas nie marzył o możliwości rekonstrukcji utraconych tkanek ciała!

Możemy je stracić na skutek urazów, wad wrodzonych czy interwencji chirurgicznych, w tym usuwania nowotworów. W ostatnich dziesięcioleciach potrzeba poszukiwania sposobów rekonstrukcji fragmentów naszego ciała drastycznie się zwiększyła. Mamy częstszy kontakt ze skomplikowanymi maszynami, na co dzień przemierzamy się autami bądź środkami transportu publicznego i żyjemy niezdrowo. To wszystko sprawia, że liczba uszkodzeń naszych ciał rośnie, także wśród osób bardzo młodych.

Inżynieria materiałowa zrobiła w ostatnich latach ogromne postępy. Stale jednak trzeba poszukiwać biomateriałów lepszych, które mogłyby z powodzeniem – trwale, skutecznie i bezpiecznie – zastępować ludzkie tkanki i narządy, wspomagać ich regenerację, usprawniać funkcjonowanie, a także spajać i mocować endoprotezy, stabilizować kość w przypadku złamań i wypełniać jej ubytki.

Podstawowym problemem są odpowiednie parametry fizykochemiczne i biologiczne biomateriału.

Współczesna chirurgia do odbudowy ubytków kości korzysta najczęściej z tzw. cementów. Są to samoutwardzalne substytuty kości, które składają się z proszku i płynu. Chirurg po zmieszaniu obydwu w trakcie *operacji* uzyskuje preparat w postaci pasty. Pasty umieszczana jest w *ubytku* kostnym. Fundamentalnym problemem jest zachowanie się pasty po aplikacji. W ściśle określonym, odpowiednim momencie pasta powinna się utwardzić. Jeżeli stanie się to zbyt wcześnie, chirurg nie zdąży nią wypełnić ubytku. A gdy zbyt późno – może się przemieścić i nie połączyć we właściwy sposób z tkanką kostną. Nie spełni wówczas rzecz jasna swojej funkcji. Innym niezwykle ważnym problemem są parametry mechaniczne biokompozytu – nie może być on zbyt kruchy. Ponadto cement po implantacji nie może się rozszerzać, bo będzie uciskać kość, co może

doprowadzić do stanu zapalnego. Obecnie w medycynie stosuje się głównie cementy ceramiczne (na bazie fosforanów wapnia) lub cementy oparte na polimetakrylanie metylu. Oba typy są dość problematyczne. Wadą cementów ceramicznych są słabe właściwości mechaniczne, z czego wynika szereg trudności użytkowych. Materiały oparte na polimetakrylanie metylu zaś mają niewystarczające właściwości biologiczne, co z kolei skutkuje brakiem możliwości wytworzenia stabilnego biopłączenia z tkanką kostną. A to nie sprzyja jej regeneracji.

Naukowcy z Politechniki Gdańskiej, przy współpracy z naukowcami z innych ośrodków, w tym z dr hab. Justyną Kozłowską, prof. UMK, pracują nad zupełnie nowymi, alternatywnymi materiałami pozbawionymi takich ograniczeń. Zaprojektowali wstrzykiwalne biokompozytowe cementy kostne na bazie fosforanu magnezu wzbogacone hydrożelami. Innowacyjne biomateriały przeznaczone są do zastosowań w ortopedii i chirurgii urazowej. Będą wspomagać regenerację tkanki kostnej przy złamaniach, osteoporozie, po resekcji nowotworów czy też przy schorzeniach typu peri-implantitis (zapalenie tkanek miękkich i twardych otaczających

implant), które jest jednym z najczęstszych powikłań występujących w leczeniu implantologicznym. Wstrzykiwalne cementy docelowo będą aplikowane w ubytek kości w trakcie małoinwazyjnych zabiegów chirurgicznych.

Pozwoli to na redukcję uszkodzeń tkanek otaczających operowane miejsce, uzyskanie szybkiego efektu i znaczące zwiększenie komfortu leczenia.

Dr hab. Justyna Kozłowska, prof. UMK odpowiada za wszystkie aspekty chemiczne projektu. Jej zadaniem jest dobór biogodnych polimerów i czynników sieciujących zapewniających odpowiednie właściwości użytkowe nowych biomateriałów. Krytycznymi parametrami są czas utwardzania cementu, jego parametry mechaniczne i właściwości biologiczne. Justyna Kozłowska koncentruje się na wskazaniu komponentów polimerowych przy tworzeniu nowych ceramiczno-polimerowych cementów kostnych, dobiera czynniki sieciujące i środowisko reakcji tak, by finalny materiał był wstrzykiwalny w trakcie potencjalnej aplikacji i dopiero w odpowiednim momencie, tuż po wypełnieniu ubytku tkanki kostnej się utwardzał, zachowując przy tym właściwe dla tego typu rozwiązań parametry mechaniczne.

Niezwykle ważnym aspektem jest również to, by cement w odpowiedni sposób ulegał stopniowej i pełnej biodegradacji po implantacji.

Dodatkowo musi wykazywać jak najkorzystniejsze właściwości biologiczne. Wszczepiony w ubytek kości powinien wspomagać namnażanie komórek kostnych oraz sprzyjać tworzeniu stabilnego wiązania z organizmem człowieka, przyczyniając się do skutecznej regeneracji kości. Te wszystkie warunki należy uwzględnić przy projektowaniu nowego, funkcjonalnego substytutu kości.

Opracowanie Justyna Kozłowska,
Ewa Walusiak-Bednarek

Kierownik zespołu badawczego: dr inż. Marcin Wekwejt z Zakładu Technologii Biomateriałów w Instytucie Technologii Maszyn i Materiałów Politechniki Gdańskiej.

Instytucje zewnętrzne biorące udział w projekcie:

- Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Wydział Chemii
- Gdański Uniwersytet Medyczny, Wydział Lekarski
- University of Würzburg, Department for Functional Materials in Medicine and Dentistry.

Projekt finansowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach programu IDUB.

Lata światłne



Z dr Emilią Ziótkowską-Ganc z Katedry Historii Sztuki XX w. w Europie Środkowej i na Emigracji Wydziału Sztuk Pięknych UMK o neonach, a zwłaszcza tych toruńskich, rozmawia Winicjusz Schulz

Fot. Andrzej Romański

– Neon to po prostu reklama czy może także ozdoba, a nawet dzieło sztuki?

– Wszystkie te określenia pasują do neonu jako oryginalnego wytworu sztuki użytkowej, w przypadku którego funkcjonalność idzie w parze z estetyką. Ogólnoświatową karierę neon zawdzięczał nie tylko walorom wizualnym, dzięki którym dekorował przestrzeń i skutecznie przykuwał wzrok przechodniów. O popularności tego rodzaju reklamy decydowała także budowa lampy pozwa-

lająca dowolnie kształtować szklane rury i uzyskiwać różnorodne efekty kolorystyczne. W okresie PRL-u neony stanowiły charakterystyczny element krajobrazu każdego większego miasta. Obok wyrobów wzornictwa przemysłowego, rękodzieła, plakatów, mozaik weszły one do klasyki powojennego designu. Myśląc o neonie w kategoriach dzieła sztuki, warto podkreślić jego potencjał jako medium i materii eksperymentów w rozmaitych praktykach artystycznych, od sztuk wizualnych przez film po teatr.



Wieżowce Osiedla Młodych w Toruniu, 1974, pocztówka w zbiorach EZ-G

- Chyba oboje zgodzimy się, że za PRL, czyli służnie minionych czasów, miały jeszcze dodatkową funkcję – rozświetlały smutną, szarą rzeczywistość...

- Owszem, pod warunkiem, że prawidłowo działały (śmiejch). W Toruniu, podobnie jak w wielu innych miastach, nie wyłączając stolicy, obecność neonów była pożądana choćby ze względu na brak wystarczającego oświetlenia ulic. Rolę, jaką odegrały neony w krajobrazie miejskim epoki PRL-u trudno zresztą sprowadzić tylko do kwestii estetyki i pragmatyzmu. Świetlne instalacje służyły bowiem za subtelne narzędzie propagandy. Pod koniec lat 50., na fali odwilżowego przetomu, władze podjęły decyzję o wdrożeniu planu neonizacji polskich miast, mającej unaocznic rzekomą nowoczesność, postęp i dobrobyt kraju. Warto podkreślić, co dziś może trudno zrozumieć, że ówczesna reklama nie miała charakteru komercyjnego. Idea neonizacji związana była raczej z chęcią nadania przestrzeni „światowej” aury. W wyniku neonowej kampanii wiele centrów miast urzekło grą światła. Uwadze opinii społecznej nie uszedł jednak fakt, że były to dekoracje bez publiczności, przynajmniej w późniejszych godzinach wieczornych. Po 22.00 ulice miasta stawały się wymarłe, sklepy i lokale były zamknięte (nie licząc drogich klubów z danciem), brakowało transportu miejskiego i taksówek, a mało kto miał samochód, w dodatku po zmroku bezpieczeństwo mało.

- Nawet czasem się przekornie zastanawiam, czy były nam potrzebne, skoro w tamtych czasach niczego pod dostatkiem nie było, nie było czego reklamować, a w sklepach, salonach mody zionęto pustką lub nudą.

- Podobne wątpliwości, co do sensu instalowania reklam, wyprowadzających klientów w pole, nieustannie przewijały się na łamach prasy, także lokalnej, która wskazywała, że „neon to nie wszystko”. Zresztą już sama idea propagowania przejawów konsumpcjonizmu w socjalistycznym systemie scentralizowanej dystrybucji dóbr rodzi oczywistą sprzeczność. Słów krytyki nie szczędzono także absurdom inwestycyjnym, w rezultacie których wydawano krocie na modny neonowy szyld, zamiast na wentylację w lokalu gastronomicznym, gdzie latem nie sposób było przebywać.

- Neony w tamtych czasach kojarzyły się przede wszystkim z Zachodem, Stanami Zjednoczonymi. Wystarczyło pójść do kina na amerykański film, by natknąć się na scenię ulic wieczorem rozświetlonych wielobarwnymi neonami.

- Poruszył Pan ciekawy aspekt funkcjonowania neonów jako elementu kreowania estetyki i narracji produkcji ekranowych, a za ich pośrednictwem – zbiorowych wyobrażeń. Nocne krajobrazy rozświetlonych metropolii – jak Nowy Jork, Chicago czy Las Vegas – stały się jednym z symboli amerykańskiego stylu życia, którego poziom był bez porównania wyższy niż w PRL-u. Neon stanowił nieodłączną część wielkomiejskiego mitu, który widzom zza żelaznej kurtyny ukazywał perspektywę zupełnie odmienną od trudnej codzienności – egzotycznego, podszytego dreszczykiem emocji, lepszego świata wolności.

- Nim zagłębimy się w dzieje neonów, przede wszystkim toruńskich, wytłumaczmy – zwłaszcza młodszemu czytelnikom – jak działało takie urządzenie, czyli neon?

- Neon to potoczne określenie na lampę jarzeniową (wyładowczą) w formie szklanej rury wypełnionej rozrzedzonym gazem szlachetnym (takim jak: hel, argon, neon, krypton, ksenon) lub oparami metali (zwykle rtęci). Zamkniętą z obu końców elektrodami rurę wykonywano ze szkła przezroczystego (bezbarwnego i barwionego) bądź opalowego. Wybór odpowiedniego napięcia i ukształtowania elektrod zapewniało równomierne świecenie. Początkowo w tego typu oświetleniu używano głównie neonu, więc niejako naturalnie jego nazwa przyjęła się na określenie całego urządzenia.

Warto pamiętać, że neon generuje tylko jeden kolor – czerwony lub pomarańczowy w różnych odcieniach. Jeszcze w latach 20. zaczęto eksperymentować z innymi gazami, ich mieszkankami i powłokami luminescencyjnymi wewnątrz rury dla poszerzenia zakresu barw lampy. Przykładowo, fioletowy kolor uzyskuje się dzięki ksenonowi, zielony – argonowi, zaś tuba wypełniona helem świeci na biało. Zasadniczo więc proces tworzenia neonów pozostaje niezmienny od prawie 100 lat.

– Polskie neony były jak zachodnie czy raczej uznać je należy za tańsze kopie – myślę oczywiście o technologii, a nie treściach.

– Jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, szczególnie branżowym, to techniczna kondycja neonów odzwierciedlała kulejący poziom innych, rodzimych gałęzi przemysłu, jak motoryzacja czy budownictwo. Technicznie rzecz biorąc, zasada działania i konstrukcja neonów nie odbiegała od zachodnioeuropejskich standardów, w przeciwieństwie do jakości samych elektrod czy transformatorów. W okresie nasilonego zapotrzebowania na neony produkcja nie nadążała z dostarczaniem niezbędnych komponentów o określonej trwałości, co nie tylko uniemożliwiało montaż nowych urządzeń, lecz również wykluczało naprawę istniejących. Abstrahując od kwestii zaopatrzeniowych, z natury rzeczy neon nie jest długowieczny, przede wszystkim na skutek wypalającego się stopniowo gazu, który wymaga uzupełniania. Aby podołać problemowi uszkodzonych neonów, z inicjatywy największego ich producenta w kraju – Przedsiębiorstwa Usług Reklamowych „Reklama” – powstawały odrębne oddziały odpowiedzialne za konserwację urządzeń. Wsparciem dla bydgoskiej filii PUR miał być toruński zakład remontowy usuwający awarie neonów na terenie województwa. O kulisach tej współpracy pisał lokalny dziennik, usiłujący dowieść, że przyczyną niedziałania neonów w Bydgoszczy jest opieszałość toruńskich konserwatorów, rzekomo dokonujących sabotażu w imię odwiecznej rywalizacji dwóch miast (śmiech).

– Neony kojarzyły się w tamtych czasach z wielkimi miastami. Ba, wręcz były ich atrybutem, czyli jeśli Polska to Warszawa, Katowice, Kraków, Gdańsk. A jak na tym tle wypadł Toruń?



Hotel „Polonia” przy pl. Teatralnym w Toruniu, 1968, pocztówka w zbiorach EZ-G

– No cóż... Trudno nazwać Toruń miastem neonów, ale dziesiątki różnych instalacji artystycznych upiększało wieczorny i nocny krajobraz miasta. Jako miasto powiatowe (do reformy administracyjnej w 1975 roku) Toruń nie mógł dorównać pod względem liczby i jakości neonów miastom wojewódzkim, gdzie możliwości inwestycyjne osiągnęły zupełnie inny poziom. Potwierdza to przykład Bydgoszczy, której centrum urzekło urodą i mnogością świetlnych instalacji. Nie znaczy to jednak, że w Toruniu nie usiłowano realizować ambitnych planów w zakresie neonizacji, co nabrało szczególnego znaczenia wobec przygotowań do obchodów 500-lecia urodzin Kopernika. Wraz z decyzją władz miasta o kompleksowym odnowieniu Starego Miasta podjęto starania o nadanie reprezentacyjnego charakteru głównym ulicom: Szerokiej i Królowej Jadwigi. Ze względów finansowych nie udało się zrealizować całości przedsięwzięcia, ale mimo wszystko trakty te stanowiły „zagłębnie” dekoracji świetlnych. Przy próbie oceny toruńskich neonów jako szerszego zjawiska, trzeba pamiętać o lokalnych uwarunkowaniach determinujących zmiany w przestrzeni miejskiej. Z jednej strony służby konserwatorskie sprawowały kontrolę nad jednolitym wyrazem estetycznym zabytkowego centrum, kładąc nacisk na spójność świetlnych sztyldów, stąd przewaga elewacyjnych napisów. Z drugiej strony niekończący się las rusztowań wzdłuż elewacji kamienic musiał utrudniać montaż reklam.



Klub Międzynarodowej Prasy i Książki przy zbiegu ul. Wielkie Garbary i Królowej Jadwigi w Toruniu, ok. 1968, pocztówka w zbiorach EZ-G

- Spróbujmy usystematyzować jakość wiedzy o toruńskich neonach. Kto przede wszystkim pozwalał sobie na taki luksus? Jakie firmy? Jakie branże?

- Odpowiedź na to pytanie muszę poprzeć krótką dygresją. Neony pojawiły się w Toruniu w międzywojniu, choć należały do rzadkości z uwagi na wysokie koszty ich realizacji. Do wybuchu II wojny światowej w ścisłym centrum miasta powstało przynajmniej 10 tego typu reklam świetlnych zachęcających do odwiedzenia sklepów, apteki, kin czy orbisowskiego biura podróży. Warto wspomnieć o neonowych przedsięwzięciach zagranicznych firm, w tym niemieckiego koncernu Schicht, producenta słynnego mydła „Jeleń”. Na zlecenie firmy zaprojektowano gigantycznych rozmiarów neon (12 x 1,2 m!) z hasłem: „Radion sam pierze”. Instalacja miała zostać umieszczona na dachu jednej z kamienic przy ulicy Szerokiej, ale kłopoty finansowe pokrzyżowały te plany. Przyglądając się powojennym realiom, zwłaszcza w początkach lat 70., gdy produkcja neonów w Toruniu osiągnęła punkt kulminacyjny, trudno wskazać branżę, która nie wykorzystywałaby tego rodzaju reklam. Największą ich liczbą oczywiście mogły poszczycić się państwowe przedsiębiorstwa, jak „Społem” i „Miejski Handel Detaliczny” (sklepy spożywcze i przemysłowe). Neon stał się szczególnie emblematyczny dla lokali gastronomicznych i hoteli (np.: orbisowskie „Kosmos” i „Helios”). Również zakłady przemysłowe nie mogły się obejść bez świetlnej reklamy, by wymienić: „Elanę”, „Merinotex”, „Towimor”, „Torpo”, „Toral”, „Tormięs”. Nie sposób pominąć w tym wyliczeniu obiektów

użyteczności publicznej, jak dworce kolejowe i autobusowe, urzędy pocztowe, szpitale, kina, stacje benzynowe, nawet targowisko – wszędzie tam instalowano neony. Być może niektórym osobom wyda się zaskakująca obecność neonu na... budkach telefonicznych Milicji Obywatelskiej (w formie akronimu MO), które zresztą stawiano w wielu miastach.

- A aspekt artystyczny? Zwykła informacja, prosta czcionka czy może choć odrobina artystycznego szaleństwa?

- Wszystkie te tendencje odnajdziemy w toruńskich neonach. Zdecydowanie przeważały elewacyjne reklamy literne, przy czym zaskakująca jest ich różnorodność. Popularny wariant stanowiły mniej lub bardziej urozmaicone napisy z pojedynczych lub podwójnych rur, gdzie każda litera umieszczona była na osobnym podkładzie (Międzynarodowy Klub Prasy i Książki przy ul. Wielkie Garbary, sklep „Moda damska” przy ul. Królowej Jadwigi, kawiarnia „Europejska” przy ul. Szerokiej). Ciekawie prezentował się nieco egzotyczny krój czcionki neonów „Orbis” zdobiących siedzibę firmy przy zbiegu Rynku Staromiejskiego i ul. Żeglarskiej, a także „prehistoryczny” napis wyburzonego dworca autobusowego. Stosowano też litery osadzone na wspólnym podkładzie, jak na elewacji sklepu „Okazja” przy ul. Szewskiej czy salonu odzieżowego przy Wielkich Garbarach. Wśród reklam liternych na uwagę zasługują finezyjne szyldy utworzone z samych rurek (np.: neon sklepu tekstylnego „Tkanina” przy ul. Szerokiej). Charakterystycznym elementem krajobrazu Torunia stały się monumentalne reklamy szczytowe, jak PKO, „Fotonu” i „Elany” zainstalowane na dachach wieżowców Osiedla Młodych. Neonem, który na pierwszy rzut oka mógł wydawać się nieskomplikowany, był napis na dachu hotelu „Helios”. Tymczasem olbrzymie litery powstały z wielu metrów rur, ułożonych pasmowo i tworzących zwarte wypełnienie liter. W przestrzeni miasta nie zabrakło realizacji wyróżniających się pod względem plastycznym. Do takich z pewnością należała okazała instalacja na dachu nieistniejącej już klubokawiarni „Wodnik” przy Bulwarze Filadelfijskim. Dominującym elementem tej kompozycji była uproszczona forma graficzna w postaci Wodnika z trójzębem w otoczeniu tryskających strumieni wody i fal.

- A komunikat: najwycyźnij jak można, czy może ktoś się wyróżnił oryginalnością?

– Powszechną praktyką było wzmocnienie przekazu literalicznego prostą grafiką lub znakiem firmowym, jak w przypadku neonów: „Elany” na dachu wieżowca Osiedla Młodych, „Orbisu” z kulą ziemską czy siedzib „Metronu”, „Towimoru”, „Torpo”. Przykładów łączenia napisów z schematyczną formą obrazową znajdziemy sporo, by wskazać neon: kina „Orzeł” ze szpulami taśmy filmowej, lokal Polskiego Monopolu Loteryjnego z liściem koniczyzny, baru „Ekspres” z tyżką i widelcem, sklepu tekstylnego „Jedwabnik” z motylem, sklepu obuwniczego „Kameleon” z gadem, stacji obsługi samochodowej z kluczem nastawnym. Jedną z najbardziej rozbudowanych treściowo instalacji stanowił neon na elewacji hotelu „Polonia”. Reklama ta ewoluowała od prostych napisów do kilkuelementowej kompozycji, złożonej z obrazu boya hotelowego i parującej kawy, zamienionej później na bardziej kuszącą grafikę kieliszka z napisem Dancing. Nie mogę powstrzymać się od odrobiny złośliwości, stwierdziwszy, że niektóre świetlne napisy zyskiwały nową wymowę, gdy część liter uległa awarii (śmiech). I tak, niezamierzenie, pojawiały się rebusy o nowym komunikacie w stylu: „...ty..ty ..piernicze” (Artykuły papiernicze), „Mię.. – ..dliny” (Mięso – Wędliny), Ow..ce – ..rzywa” (Owoce – Warzywa).

– Sam pamiętam sytuację, gdy częściowej awarii uległ neon nieistniejących już Zakładów Mięsnych przy ul. Lubickiej. Wyświetlały się „Zady Mięsne”. A co z kolorystyką, animacjami?

– Prawdę mówiąc, ta kwestia jest najtrudniej uchwytna, zwłaszcza dla kogoś, kto – tak, jak ja – nie mógł poznać neonowego Torunia sprzed transformacji ustrojowej. Wybiórczo zachowana dokumentacja archiwalna oraz stosunkowo niewielka liczba kolorowych fotografii i pocztówek powoduje, że niełatwo zrekonstruować kolorystykę, a tym bardziej dynamizm świetlnych elementów. Niemniej jednak źródła przekonują, że zazwyczaj stosowanymi barwami były czerwień, biel, żółć, przy czym jedna instalacja mogła wyróżniać się kilkoma elementami w różnych kolorach (hotel „Polonia”, Międzynarodowy Klub Prasy i Książki). Jeśli chodzi o sekwencyjność świecenia, to takie rozwiązania były bardzo kosztowne i na szerszą skalę niestosowane w Toruniu. Najczęściej efekt ruchu osiągnano poprzez zapalające się i gasnące w określonym rytmie litery bądź elementy graficzne, jak w przypadku wywieszek semaforowych z napisami dwustronny-



Hotel „Helios” przy ul. Kraszewskiego w Toruniu, 1974, pocztówka w zbiorach EZ-G

mi: „Dom Pana” i „Obuwie” przy ul. Szerokiej. Atrakcyjnie musiały wyglądać ruchome formy graficzne zastosowane w reklamach restauracji „Herbową” (tańcząca para), baru „Ekspres” (tyżka i widelec), Totalizatora Sportowego (biegnący piłkarz), „Merinetexu” (kręcący się kołowrotek).

– Ma Pani jakiś ulubiony toruński neon, który zrobił na Pani szczególnie wrażenie?

– Oczywiście. Cenię neony ukształtowane wyłącznie z rurek, tworzące ażurową kompozycję, jak reklamy kawiarni „Pod Gołębkiem” czy sklepów: „Tkanina”, „Pamiątkarstwo”, „Owoce warzywa”. Realizacje te charakteryzowały się dużą dekoracyjnością i wyszukaną linią czcionek. Niemniej jednak szyldy te nie były pozbawione mankamentów. Za dnia eteryczna instalacja stawała się niemal niewidoczna, trudna do odczytania. O neonie zwykle myślimy w kategoriach efektu osiąganego nocą, ale trzeba pamiętać, że udany projekt to taki, który klarownie komunikuje daną treść za dnia. Stąd projekty koncepcyjne neonów zatwierdzano w dwóch wersjach: dziennej i nocnej.

– Kto w tamtych czasach zajmował się projektowaniem i tworzeniem toruńskich neonów?

– Prócz inwestorów w procesie powstawania reklam neonowych uczestniczyli przedstawiciele różnych specjalizacji: elektrycy, konstruktorzy urządzeń reklamowych, metaloplastycy, dmuchacze szkła, artyści. Projektantami neonów byli zarówno



Hotel „Kosmos” w Toruniu przy ul. ks. Popiełuszki, ok. 1970, pocztówka w zbiorach EZ-G

graficy, plastycy, jak i architekci, którzy tworzyli pojedyncze reklamy lub opracowywali spójną koncepcję dla całych ciągów ulicznych. Jeśli chodzi o producentów reklam świetlnych, to w latach 30. XX wieku działało w Toruniu kilka prywatnych firm, zwykle należących do inżynierów (jak „Elektron” L. Kręckiego i „Radius” T. Kossakowskiego). Toruńskie neony wychodziły także spod ręki warszawskich przedsiębiorców (m.in. Teofil Jarosz, Zakłady Elektromechaniczne Dworakowskich). Po wojnie produkcję reklam neonowych zmonopolizowały wyspecjalizowane zakłady państwowe, z których najprężniej działało Przedsiębiorstwo Usług Reklamowych „Reklama” z filiami w każdym mieście wojewódzkim. Najczęściej bydgoskiej i poznańskiej placówce powierzano zlecenia na toruńskie neony. „Reklama” współpracowała z toruńskim oddziałem Pracowni Sztuk Plastycznych. Efektem takiej kooperacji był m.in. neon hotelu „Helios”, zaprojektowany przez Ewelinę Szczech-Siwicką. Niestety, autorzy sporej części neonów nie są obecnie znani, co – miejmy nadzieję – zmieni się w przyszłości, gdy rozproszona po różnych instytucjach dokumentacja trafi do archiwów państwowych.

– Zająwszy się tematem toruńskich neonów, znalazła Pani też czas i możliwości na prześledzenie ich losów – jakież się zachowały się, są gdzie przechowywane?

– Losy neonów są oczywiście ściśle powiązane z dziejami politycznymi. Już od początku lat 80., wraz z pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, na porządku dziennym były niedziałające neony. W obli-

czu przemian ustrojowych, kiedy zaniedbane reklamy stanowiły jeden z symboli upadłego systemu, zaczęto je likwidować, zastępując tańszymi nośnikami z tworzyw sztucznych i billboardami. Z okresu PRL-u przetrwał w Toruniu w niezmienionej lokalizacji i formie tylko jeden neon – napis Spółdzielni Mieszkaniowej na Skarpie umiejscowiony na dachu pawilonu usługowo-handlowego przy ul. Wyszyńskiego. Od zezłomowania udało się uratować neony dworca Toruń Miasto i restauracji „Herbowej”, które trafiły do warszawskiego Muzeum Neonów. Zdemontowany z budynku dworca napis „Toruń Główny” przechowywany jest w magazynie. Z kolei dzięki artyście Stefanowi Kornackiemu ocalały podkłady literowe świetlnych napisów z hotelu „Kosmos”, zakładu „Elana” i pawilonu handlowego „Uniwersam”. Generalnie podejmowane w ciągu ostatnich kilkunastu lat w całej Polsce inicjatywy środowisk aktywistycznych i społeczności lokalnych przyniosły szereg pozytywnych rezultatów dla ochrony tego rodzaju zabytków. Gwoli ścisłości trzeba też odnotować, że mamy w Toruniu kilka neonów „kapitalistycznych” powstałych pod koniec lat 90. i na początku dwudziestych (np.: na budynkach galerii handlowych „Kometa” i „Copernicus”), jeszcze przed rozpowszechnieniem oświetlenia LED-owego.

– Dziś królują ekrany LCD, LED-y. Jest jeszcze jakaś szansa na renesans neonów? Taki fajny old school mógłby powrócić na przykład jak w muzyce winyle?

– Absolutnie tak, choć zjawisko to zapewne nie osiągnie masowego charakteru z prozaicznej przyczyny: wysokich kosztów produkcji i konserwacji neonów. Obecnie panuje moda na LED-owe „neony”, często stosowane we wnętrzach. Wprawdzie tego typu produkty stanowią tańszą i wygodniejszą w użytkowaniu alternatywę wobec tradycyjnych jarzeniówek, ale pod żadnym względem nie mogą się z nimi równać. Efekt wizualny, jakość i aura świecących, szklanych rurek powoduje, że niektórzy przedsiębiorcy decydują się na zainwestowanie w neonową reklamę. Przykładem jest najmłodszy toruński neon, funkcjonujący od ubiegłego roku na dachu kawiarni „Przy Wiśle”, ciekawy pod względem plastycznym i świetnie współgrający z architekturą niewielkiego pawilonu. Życzyłabym sobie, aby takich udanych realizacji, dobrze wkomponowanych w przestrzeń miejską, w Toruniu przybywało.

– Dziękuję za rozmowę.

„*Hic locus est ubi mortui viveunt docent*”
(*tu się śmierć na korzyść ludzkości obraca*)

[maksyma, którą na polecenie Stanisława Augusta umieszczono nad wejściem do Theatrum Anatomicum, jednej z polskich szkół lekarskich]

Marek Jurgowiak

Ciało człowieka

Pod koniec XIX wieku, zatem w całkiem nieodległej przeszłości, dla wielu myślicieli tamtej epoki, ciało człowieka było jedynie tworem materii organicznej, swoistym mechanizmem o cechach życia. Wiek XX przywrócił, pogłębił zagadnienie cielesności – ciała triumfu życia.

Było to jednocześnie związane z postępującą i pogłębiającą się medykacją naszego życia. Medycyna stała się nie tylko oparciem w razie choroby, ale wręcz przewodnikiem życia.

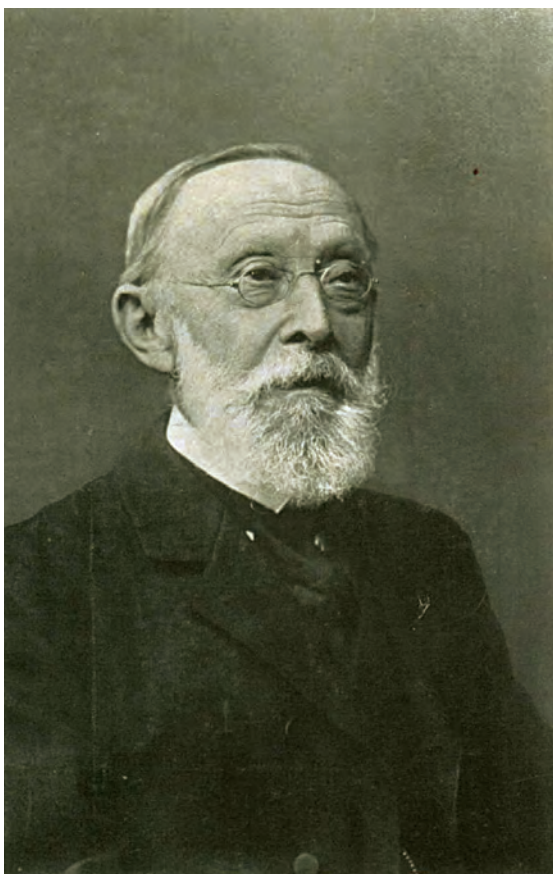
Przejawia się to obecnie szczególnie wyraziście narzucaniem reguł postępowania, wręcz cenzurowaniem przyjemności, wtłaczaniem w codzienne życie człowieka szeregu zaleceń. Taka rola medycyny bierze się z szybkiego rozwoju wiedzy na temat, już nie tylko budowy, ale i funkcjonowania organizmu na poziomie molekuł (DNA), zwycięstwa nad wieloma chorobami, co też objawiało się i objawia wydłużaniem życia, szczególnie w ostatnim stuleciu. Czy nauka i medycyna poprzez dogłębne poznanie obdarzą nas przyszłością ciała pozbawionego tajemnic, dogłębnie zbadanego, a poprzez to bezpośrednio dostępnego dla samego podmiotu, mózgu, choć on sam pozostanie zapewne na długo największą tajemnicą świata ożywionego, a może i wszechświata, w którym żyjemy. Krótka i dynamiczna jest historia „badania” ciała ludzkiego, które oddaje nam swoje tajemnice, choć nie bez przeszkód i zapewne nie do osiągnięcia absolutu poznania.

Powszechnie, i chyba najlepiej, znany jest obraz *Lekcja anatomii doktora Tulpa* – dzieło barokowe Rembrandta z 1632 r. Praca ta obecnie znajduje się w Hadze. Przedstawia scenę sekcji zwłok – Tulp, chirurg i jednocześnie burmistrz Amsterdamu, tłumaczy szczegóły anatomii kończyny górnej podczas publicznego pokazu, jakie wówczas powszechnie

urządzano, używając do tego ciał zgładzonych przestępców. Otwarta księga na obrazie to prawdopodobnie słynne anatomiczne dzieło Vesaliusza *Budowa ciała ludzkiego*, pochodzące z 1543 r. (*De humani corporis fabrica*). Wielu artystów w tamtym czasie tworzyło dzieła o podobnej tematyce. Wymienić tu można *Anatomię doktora Egbertsa* – dzieło Pietersa i de Keysera, *Anatomię doktora Ruysa van Nycka*.

W okresie baroku pojawiło się ogromne zainteresowanie ciałem ludzkim i anatomią człowieka. Dzieło Rembrandta zdaje się poruszać jednocześnie temat przemijalności jednostki ludzkiej i śmierci naszego ciała, a ponadto wskazywać, że dotyczą one każdego z nas. Dlaczego poznanie ciała ludzkiego zajmowało przed laty i zajmuje obecnie nasze umysły, jest raczej jasne, większą zagadką pozostaje natomiast to, jak ewoluowały na przestrzeni dziejów





Rudolf Ludwig Karl Virchow

metody oraz poglądy odnoszące się do poznania ciała człowieka.

Pierwsze całościowe ujęcie techniki sekcyjnej podał anatomopatolog Rudolf Virchow, zwany królem anatomopatologów. Virchow (urodzony w Świdwinie) przeszedł do historii nauki także jako autor „Omnis cellula e cellula” – słów, które zdają się opisywać istotę życia w odniesieniu do świata organizmów o budowie komórkowej. Wcześniejsze wynalezienie mikroskopu i stałe udoskonalanie technik mikroskopowych doprowadziło do opisanie komórki jako podstawowej jednostki życia, co przyczyniło się także do rozwoju histologii i anatomii. Rudolph Virchow (1821–1902) wydał dzieło *Zellularpathologie in ihrer Begründung auf physiologische und pathologische Gewebelehre* (1858), a był to zbiór około 20 wykładów dla studentów i lekarzy spisanych przez słuchających i zredagowanych przez autora. Jego uczniem i przyjacielem był Alfred Biesiadecki, pierwszy profesor anatomii patologicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Włodzimierz Brodowski, późniejszy profesor anatomii patologicznej Uniwersytetu Warszawskiego.

Rembrandt *Lekcja anatomii doktora Tulpa*

W roku 1953 prof. Paszkiewicz w swojej publikacji wskazał, że każdą sekcję należy zrobić tak, aby wyciągnąć z niej jak największą korzyść (dla naukowego poznania). Jednocześnie propagował technikę *in situ*, polegającą na oglądzie każdego narządu bezpośrednio w badanym ciele. Sam król anatomopatologów, Virchow, twierdził natomiast, że wycięcie narządu daje lepsze pole do obserwacji aniżeli narząd umiejscowiony w ciele. Takie czy inne podejście do samego aktu badania anatomicznego musi jednak zawsze pozostać w zgodzie ze słowami Aleksandra Lasassagne'a, który mawiał, że „źle zrobionej sekcji nie można powtórzyć”.

Pierwszym podręcznikiem techniki sekcyjnej, jaki ukazał się w języku polskim, była książka Dmochowskiego: *Diagnostyka anatomopatologiczna*, wydana w latach 1903–1909. Wiek XX i XXI to wielki triumf nauk medycznych, z wieloma pokonanymi chorobami, choć daleko nam do całkowitego zwycięstwa. W swojej książce filozof Jean-Claude Beaune napisał: „Nie umiemy już chorować”. Dawniej choroba przebiegała w czasie rzeczywistym, a ciało stawało się wówczas teatrem majestatycznego dramatu. Im bliżej naszych czasów, tym doświadczenie choroby i oddalonej śmierci wraz z towarzyszącym mu uczuciem odradzania się stawało się radsze. Radykalne metody leczenia naszych czasów odsuwają od nas stan samej choroby i zjawiska rekonwalescencji. Niezrozumiałe często choroby współczesność ulokowała nam zazwyczaj w ostatnich etapach osobniczego życia.

Obecnie, w XXI wieku, laserowe skanowanie powierzchni zwłok, fotogrametria 3D, czy spektroskopia dają całkowicie nowe możliwości dalszego poznania i badania ciała człowieka. Techniki umożliwiające tworzenie rekonstrukcji 3D wykorzystują Szwajcarzy Thali, Dirrhofer i Vock z Uniwersytetu w Bernie. Organizują także kursy dla zainteresowanych tą metodą badania ciała (VIRTUAL AUTOPSY). Jest ona przydatna, gdy wykonanie sekcji klasycznej staje się niemożliwe, np. ze względów religijnych czy kulturowych. To bowiem bezkrwa- wa prezentacja wyników sekcji, jednak jej upowszechnienie utrudniają nadal wysokie koszty i ograniczenia aparaturowe. W dalszym ciągu zatem złotym standardem jest klasyczna sekcja, oparta o dokonania Virchowa, Rokitiński'ego, Zenkera i Letulle'a. Niemniej istotnym było odkrycie przez Roentgena w 1895 r. promieni X, co dało początek radiografii medycznej i w sposób oczywisty poszerzyło możliwości poznania i badania ciała człowie-



Vesalius Budowa ciała ludzkiego

ka. Udoskonalane obecnie metody obrazowania (ultrasonografia, tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny) pozwalają bezkruwawo zaglądać w głąb naszych ciał, włącznie z mózgiem – generującym stan umysłu i stanowiącym o naszej tożsamości, a przecież będącym klasycznym obiektem anatomicznym.

W tradycji filozoficznej zdominowanej przez kartezjanizm wszystko skazywało ciało na odgrzywanie roli podrzędnej, tak było przynajmniej do końca wieku XIX. Dopiero wiek XX zatarł granicę oddzielającą ciało i duchowość człowieka; postrzegamy odtąd życie ludzkie jako jednocześnie duchowe i cielesne, oparte zawsze jednak na ciele jako

złożonej wielowymiarowej strukturze. Co ciekawe, historia ciała człowieka w XX i XXI wieku to historia bezprecedensowej medykalizacji. Obecnie medycyna wręcz narzuca nam pewne normy zachowań i postępowania wobec swego ciała i ducha. Bierze się to oczywiście z postępu wiedzy i jego skutków w postaci zwycięstwa nad wieloma chorobami. Ma to jednocześnie wpływ na obserwowane od stulecia znaczne wydłużanie się życia człowieka. A jeszcze w XVII wieku Descartes twierdził: „Przyjmuję, że ciało jest zaledwie posągami, bądź maszyną [...], którą Bóg umyślnie w taki sposób ukształtował”. Paradoxem wielkiej przygody naukowej w poznaniu ciała XX i XXI wieku jest ostatecznie nasza nie stosowność obnoszenia się z chorobą i jednocześnie konieczność naszych starań, aby wyglądać i czuć się zdrowo. W poczekalni światowego szpitala oczekuje obecnie 8 miliardów istot ludzkich.

Narkoza połączona z aseptyką i postępy w rozumieniu anatomii umożliwiły na początku XX wieku rozkwit chirurgii. Dało to początek możliwości precyzyjnego ingerowania w ciało, ratując życie choremu, a obecnie takiej ingerencji także w estetykę ciała np. starzejącego się.



W historii poznania ciała człowieka znaczące miejsce ma rzecz jasna historia anatomii. Anatomia jest nie tylko wstępem do wiedzy medycznej, ale wręcz stanowi model wiedzy – przeprowadzać bowiem sekcję zwłok to przecież nic innego, jak dociekać i opisywać. Autopsja prowadzona w celach dydaktycznych miała uwolnić przyszłych i praktykujących już lekarzy od tabu, jakim było zagłądanie do wnętrza ciała.

Nowe techniki badawcze, rozwijające się do dzisiaj, stopniowo odsuwają na plan dalszy kliniczne uczenie się ciała drugiej osoby, ocenę dokonywaną za pomocą pięciu zmysłów (np. uczone obwąchiwanie, dotykane pacjenta). Nawet mnie nie dotknął – często mawiają pacjenci po wyjściu z gabinetu lekarza. Wśród nowych technik badań pacjenta na pierwszy plan wysuwają się badania wizualne (obrazowanie) żywego człowieka (pacjenta).

Dawną wiedzę anatomiczną, czerpaną z badania ciała osoby zmarłej, otaczała przerażająca aura. Dziś nowe techniki pozwalają na zagłądanie w głąb ciała żyjącego człowieka, bez przemocy i bez ingerencji. Bez przeszłości nie istnieje jednak teraźniejszość, a zatem i przyszłość medycyny i anatomii, i w ogóle poznania ciała człowieka.

Czy tak jak wiek XX i obecny obciążą swym postępowaniem naukowo-cywilizacyjnym autonomiczną jednostkę ludzką indywidualnym przebadanym i poznany do głębi ciałem, łaknącym zdrowia i młodości, nie obciążą jej samotnością w otoczeniu szczegółowych zaleceń na zdrowe życie? A jednak bez wszechobecnej w naszym życiu nauki i medycyny nie cieszylibyśmy się życiem ani tak długim, ani tak zdrowym.



Dr n. med. Marek Jurgowiak – Wydział Farmaceutyczny CM UMK, członek Rady Programowej Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy w Toruniu, popularyzator nauki, stały współpracownik „Głosu Uczelni”

Magdalena Schulz

Wsparcie żywieniowe w trakcie nauki

Wiosna to okres matur, egzaminów i sesji akademickiej, dlatego w tym czasie warto szczególnie przyjrzeć się swojej diecie. Bowiem to, co jemy, oddziałuje na prawidłowe funkcjonowanie całego organizmu, w tym na efektywną pracę mózgu. Odżywcza dieta przyczynia się do poprawy koncentracji i lepszego zapamiętania przyswojonej wiedzy. Co zatem jeść, aby proces uczenia się był skuteczniejszy?

Głównym źródłem energii dla naszego mózgu jest glukoza, będąca podstawowym składnikiem przemian metabolicznych. Mózg wykorzystuje ok. 130 g glukozy dziennie i tyle powinna wynosić minimalna podaż węglowodanów w diecie, żeby zapewnić prawidłowe funkcjonowanie tego narządu. Aby poprawić efektywność uczenia się, warto spożywać produkty zawierające węglowodany złożone, a także zadbać o regularność posiłków i ich odpowiednie komponowanie, dążąc do utrzymania wartości glikemii we krwi na względnie stałym poziomie. Najlepszym źródłem glukozy dla komórek nerwowych są pełnoziarniste produkty zbożowe, owoce oraz nasiona roślin strączkowych. Błonnik zawarty w tych produktach spowalnia opróżnianie żołądka i wydłuża czas trawienia posiłku, przez co uwalnianie glukozy do krwi jest wolniejsze i nie dochodzi do gwałtownych wahań glikemii. Wówczas komórki nerwowe mają jej stały dopływ, a nam udaje się przez dłuższy czas utrzymać wysoką koncentrację. Inaczej jest w przypadku dostarczania glukozy ze słodczy, słodkich napojów czy produktów zbożowych ubogich w błonnik. Takie posiłki są łatwo strawne, a poziom glukozy we krwi po ich spożyciu gwałtownie rośnie. W takiej sytuacji czujemy nagły przypływ energii, który niestety nie trwa długo. Organizm ludzki cały czas dąży do zachowania homeostazy, dlatego uruchamia mechanizmy wyrównujące wysoki poziom cukru we krwi. Na skutek szybkiego wzrostu glikemii, następuje silny wyrzut insuliny



przez komórki B wysp Langerhansa, która doprowadza glukozę do komórek organizmu i obniża jej poziom we krwi, często poniżej wartości prawidłowych. Skutkuje to zwiększonym zmęczeniem, zaburzeniem koncentracji, ospałością i brakiem energii do nauki.

Kolejnym składnikiem wspierającym procesy myślowe są kwasy tłuszczowe omega-3, które mają korzystny wpływ na rozwój neuronów oraz funkcjonowanie hipokampu. Tłuszcze pełnią między innymi funkcję strukturalną mózgu, gdzie dominują kwasy omega-3, zwłaszcza kwas dokozaheksaenowy (DHA). Kwasu DHA organizm nie potrafi sam syntetyzować de novo, a synteza z prekursorów może być nieefektywna, dlatego niezbędna jest ich podaż wraz z dietą. Dobrym źródłem tego składnika są tłuste ryby (łosoś, śledź, tuńczyk, makrela, sardynki), owoce morza oraz algi. W przypadku alergii na ryby, diety wegetariańskiej lub niskiego spożycia ze względu na preferencje smakowe, zalecana jest suplementacja kwasami EPA i DHA. Udowodniono, że odpowiednie spożycie kwasu dokozaheksaenowego usprawnia syntezę neuronów i synaps w rozwi-



jającym się mózgu, co poprawia funkcje kognitywne i zdolność uczenia się. Warto również włączyć do diety olej i siemię lniane, nasiona chia oraz orzechy włoskie, które dostarczają kwasu alfa-linolenowego (ALA), z rodziny omega-3.

W odżywczej diecie wspierającej funkcjonowanie układu nerwowego nie może zabraknąć witamin i składników mineralnych. Wśród witamin, które pozytywnie wpływają na pamięć, wyróżnia się przede wszystkim witaminy z grupy B (szczególnie tiaminę i cholinę), witaminę D oraz C i E (witaminy antyoksydacyjne). Cholina, czyli witamina B4, jest niezbędna do prawidłowego rozwoju mózgu już w okresie płodowym. Jej niedobór powoduje zaburzenia funkcjonalne hipokampu i ubytki pamięci w późniejszych latach życia. Źródłem choliny są

jajka, mięso, wątroba oraz nasiona roślin strączkowych. Inna witamina z grupy B, tiamina (B1), wspiera proces tworzenia energii z glukozy w komórkach nerwowych oraz wpływa na prawidłowy rozwój osłonek mielinowych. Jej niskie spożycie może prowadzić do problemów z pamięcią, zmęczenia, a nawet uszkodzenia nerwów. Witaminy z grupy B znajdziemy przede wszystkim w produktach zbożowych z pełnego ziarna, kaszach, a także w mięsie, rybach i nabiale. Ze składników mineralnych, które są niezbędne do metabolizmu energetycznego komórek mózgowych, można wyróżnić żelazo, wapń, cynk i magnez. Pierwszy z nich dodatkowo poprawia dotlenienie tkanki nerwowej, a wapń i cynk biorą udział w przewodzeniu impulsów nerwowych. Magnez natomiast łagodzi skutki stresu, redukując uwalnianie kortyzolu i katecholamin w sytuacjach stresowych. Konsekwencją tego mechanizmu jest zwiększone zużycie magnezu przez organizm, dlatego w okresie wzmożonego stresu warto wprowadzić do diety więcej produktów zbożowych, orzechów, pestek, nasion i kakao.

Warto zadbać także o spożywanie posiłków o regularnych porach (co 3–4 godziny) oraz ich odpowiednie komponowanie, aby uniknąć spadków energii w ciągu dnia. Zgodnie z Talerzem Zdrowia opracowanym przez Instytut Żywności i Żywienia, około połowę posiłku powinny stanowić warzywa i owoce, które są źródłem witamin, składników mineralnych, wody i błonnika pokarmowego. Drugą połowę talerza należy wypełnić produktami będącymi źródłem białka ($\frac{1}{4}$ posiłku) oraz węglowodanami złożonymi ($\frac{1}{4}$ posiłku). Nie można zapomnieć o dodatku dobrej jakości tłuszczów roślinnych, np. oliwy z oliwek, awokado, pestek czy orzechów. Tak przygotowany posiłek będzie charakteryzował się niższym indeksem glikemicznym, dzięki czemu unikniemy gwałtownych wahań poziomu glukozy we krwi oraz ospałości i zmęczenia po posiłku. Odpowiednie komponowanie talerza urozmaica dietę oraz dostarcza składniki odżywcze z różnych grup produktów żywnościowych, minimalizując ryzyko niedoborów pokarmowych.

Śniadanie, czyli najważniejszy posiłek dla efektywnej pracy mózgu, powinno dostarczyć nam stabilny poziom energii w pierwszej połowie dnia, co pomoże utrzymać wysoki poziom koncentracji. Dlatego pierwszy posiłek nie powinien obfitować w produkty, które są źródłem węglowodanów prostych ubogich w błonnik, np. popularne płatki zbożowe z mlekiem, kanapki z pszennego pieczywa



z dżemem czy jogurty owocowe słodzone cukrem. Zdrowszym wyborem od wysokoprzetworzonych płatków będzie owsianka z jogurtem naturalnym, owocami i orzechami. Owies jest dodatkowo zasobny w magnez oraz wapń, który zwiększa przekazywanie impulsów w komórkach nerwowych. Inną propozycją odżywczego śniadania są pełnoziarniste kanapki z dodatkiem warzyw oraz jajka, które dostarczają pełnowartościowego białka oraz cholicy.

Rozważając składniki diety, które poprawiają funkcje kognitywne, nie można zapomnieć o prawidłowym nawodnieniu organizmu, ponieważ nawet łagodne odwodnienie oddziałuje negatywnie na pamięć i funkcje poznawcze. Przyjmuje się, że zapotrzebowanie na płyny wynosi ok. 30 ml/1 kg masy ciała i ulega zwiększeniu przy intensywnym wysiłku lub podwyższonej temperaturze otoczenia. Głównym napojem w ciągu dnia powinna być woda, jednak w trakcie nauki skuteczna jest również kawa oraz zielona herbata. Napoje te poprawiają pamięć i koncentrację oraz są źródłem przeciwutleniaczy o działaniu neutralizującym wolnym rodniki. Aby uczenie się było efektywniejsze, lepiej w tym czasie zrezygnować z picia napojów słodzonych cukrem, a nawet soków, które z uwagi na stopień przetworzenia i niewielki udział błonnika, są głównie źródłem cukrów prostych, które wpływają negatywnie na glikemię.

Polecane przekąski w trakcie uczenia się:

- orzechy (szczególnie włoskie), które są źródłem kwasu linolenowego, białka, magnezu, witaminy E i kwasów fenolowych o właściwościach antyoksydacyjnych,
- sałatka owocowa lub smoothie z dodatkiem jogurtu naturalnego i siemienia lnianego / orzechów, które dostarczają witaminy C, pełnowartościowego białka oraz kwasów omega-3,
- sałatki lub pełnoziarniste kanapki z dodatkiem ryb, jajek, hummusu, chudego mięsa,
- plasterki owoców (np. jabłka, gruszki) posmarowane masłem orzechowym,
- pudding chia z jogurtem i owocami,
- gorzka czekolada z wysoką zawartością kakao (70%).

Oprócz wsparcia żywieniowego niezmiernie ważne w zwiększeniu wydajności pracy mózgu są odpowiednia ilość snu, czyli czasu kiedy mózg się regeneruje, a także umiarkowana aktywność fizyczna. Codzienny ruch sprzyja odpowiedniemu dotlenieniu komórek nerwowych oraz wpływa na zwiększenie



objętości hipokampu, co przekłada się na poprawę zdolności do zapamiętywania.

Dieta odżywcza dla mózgu jest szczególnie istotna dla osób pracujących umysłowo oraz studentów, którzy chcą być bardziej skoncentrowani i lepiej przyswoić zdobytą wiedzę. Natomiast człowiek uczy się całe życie, dlatego powyższe zalecenia warto starać się wprowadzić na co dzień, niezależnie od wieku. Dobra jakościowo żywność jest paliwem energetycznym dla mózgu oraz przyczynia się do poprawy funkcji kognitywnych, a także ochrony układu nerwowego przed chorobami neurodegeneracyjnymi w przyszłości.



Mgr Magdalena Schulz – absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny



Jarosław Dumanowski

Zapomniane nowalijki

Jedzenie sprzed wieków, przynajmniej to konsumowane przez ludzi zamożnych, wyobrażamy sobie jako góry mięsa, na dodatek obficie polane tłuszczem. Ewentualnie całe garście skwarków i kilka łyżek smalcu lub okrasy na codziennej kaszy czy chlebie biedaków.

Ponieważ dawne rachunki kuchenne skupiają się właśnie na mięsie czy jeszcze droższym kiedyś tłuszczu, to skłonni jesteśmy przypuszczać, że nasi przodkowie prawie nie jedli warzyw i owoców, nie lubili ich i właściwie niespecjalnie się na nich znali. Tymczasem warzywa i owoce często pochodziły z własnego ogródka, były przy tym na ogół znacznie tańsze od mięsa i tłuszczów, w efekcie rzadko wymieniano je w listach zakupów czy rachunkach. Tymczasem rzepa, pasternak, kucmerka (tzw. słodkie korzonki), kapusta, buraki i wiele innych warzyw odgrywały ogromną rolę tak w wyżywieniu bogaczy, jak i biedaków. To samo dotyczyło owoców, dawna wiedza kulinarna obfituje w pomysłowe sposoby na ich zaskakujące nieraz wykorzystanie.

Dawny głód i niedostatek w dużej mierze wynikał z braku umiejętności i wiedzy o konserwacji i przechowywaniu żywności. Późnym latem i jesienią jedzenia było sporo: zboże i warzywa,

owoce, ryby wędrownie, zwierzęta rzeźne – wszystko to pojawiało się prawie jednocześnie. Produkty więc solono, marynowano, kiszono, suszono, wędzono, często łącząc, w zaskakujący dla nas sposób, różne te techniki. Mieliśmy więc i suszoną kiszoną kapustę, i wędzoną suszoną rzepę, jedzono produkty, które najpierw solono, a potem suszono. Przez większą część roku brakowało produktów świeżych, a te zakonserwowane wyglądały i smakowały cokolwiek inaczej niż nasze współczesne. Suszone mięso było twarde jak kamień, solone śledzie były przezrażliwie słone, a solone i jednocześnie suszone ryby trzeba było rozbijać młotem, a potem moczyć przez wiele dni.

Z wielką niecierpliwością czekano więc na nowalijki, pierwsze świeże produkty, które tę monotonną dietę mogły urozmaicić. Świeże warzywa były wielkim przysmakiem, szukano ich już od końca zimy czy przedwiośnia. Przykładem może być tu bobownik, właściwie bobownik przetacznik – roślina, która nawet zimą rosta nad brzegami rzek i strumieni. Jej liście i młode łodygi wykorzystywano do sałatek, gotowano z niej także zupę, której opis jako potrawy zimowej zamieścił w jednej ze swej książek kucharskich słynny kucharz Jan Szyttler.

Nowalijek wypatrywano z utęsknieniem i obok roślin uprawianych w ogródku sięgano po produkty z pola, lasu i łąki. Wielkim przysmakiem były znane od wieków szparagi, które jak czytamy w zielniku Szymona Syreniusza z 1613 r. „do chciwego i łakomego używania przychodzą..., gdy na wiosnę z ziemi kielkami i szosikami wychodzą”. Bardzo ceniono też młode pędy chmielu, które jedzono podobnie jak szparagi, tak samo używano też młodego lubczyku.

Zielony barszcz, tzn. barszcz zwyczajny (roślinę selerowatą), zbierano na łąkach, ale i uprawiano w ogrodach. Bardzo długo było to jedno z najpopularniejszych warzyw liściastych, zbierane od wiosny do lata, a nawet jesieni, kiszono i wykorzystywane w tej postaci przez cały rok. Nieprzypadkowo jego nazwa posłużyła do określania różnych zup oraz polewek i zachowała się w naszym języku do dzisiaj. Podobnie jak współcześnie używano szczawiu, ale sięgano też po młode liście chrzanu, z których sok



służył jako barwnik i rodzaj przyprawy do serów (słynny staropolski ser zielony). Pokrzywa, lebioda i łoboda, młode liście poziomki, szczawik zajęczy i oczywiście najróżniejsze sałaty.

Przykładem tęsknoty za nowalijkami jest tzw. „sałsza” z zielonego żyta z zielnika Szymona Syreniusza z 1613 r. Młode żyto rozcierano w móżdżerze z grzankami i dodawano do tej masy ocet, sól, pieprz oraz imbir. Jak stwierdzał autor „bez wszelakiego kosztu będzie przysmak do mięsa, do ryb”. Mamy tu coś w rodzaju to staropolskiego pesto... Z przepisem na żytnią „sałszę” zmierzyło się już kilku kucharzy, a ja miałem kilka okazji, by posmakować efekty ich pracy. Bogdan Gałązka, przed laty szef kuchni restauracji na zamku w Malborku, a dziś doktor naszego uniwersytetu i właściciel restauracji w Warszawie uzyskał niezwykły sos podobny nieco do jego słynnego pietruszkowego pesto. Przysmak Syreniusza wyróżniał się rześkim posmakiem zieleniny w rodzaju lekko niedojrzałego agrestu czy zielonych lub raczej białych truskawek. Zrównoważony, spokojny i harmonijny smak miała „sałsza” przyrządzona przez Karola Okrasę, obaj szefowie ostrzegali jednak przed dzisiejszym żytem z wielkopowierzchniowych upraw, zwłaszcza młode zboże może zawierać sporo nawozu czy pestycydów. Całą operację powinniśmy więc zacząć od pozyskania ekologicznego żyta lub zasiania go w swoim własnym ogródku.

W *Compendium ferculorum* z 1682 r. pojawia się często natka pietruszki, używano też kopru, szczawiu i szpinaku, a wiele potraw polecano „potrząsnąć zielonością”. W rękopiśmiennym zbiorze przepisów z dworu Radziwiłłów z ok. 1686 r. wspomniano m.in. o barszczu zwyczajnym i radzono używać „różnego ziela według upodobania”. Staropolskie przepisy często wspominają o majeranku i oregano (lebiodce), bazylii („bazylice”) i rozmarynie. W *Compendium*



ferculorum opisano bitą śmietanę aromatyzowaną rozmarynem, a w „Modzie bardzo dobrej”, znalazł się przepis na polewkę rozmarynową.

W niedawno odnalezionej rękopiśmiennej kopii *Kuchmistrzostwa*, książki kucharskiej wydanej ok. 1540 r. w Krakowie, natykamy się na pomysłowe użycie szafwii. Autor tego zbioru opisał „Gąszcz z szafwii”. Krótki, wręcz zdawkowy przepis, opisuje listki szafwii „pomazane” gąszczem z marchwi, „omoczone” w cieście i wreszcie zapiekane lub smażone.

Szafwia z natką pietruszki była też podstawą do wyrabiania „salsy”, gęstego sosu, podawanego z drobiem. W innym przepisie z *Kuchmistrzostwa* pietruszkę i szafwię łączono z liśćmi babki, do rozartej masy dodawano miodu i doprawiano cynamonem i pieprzem, ceniony słodko-korzenny posmak. Przygotowany w ten sposób sos podawano z „kaszą” z suszonych jabłek.





To pradawne zainteresowanie „zielonością” na nowo daje o sobie znać w XVIII w. Kuchnia polska z tego czasu jest już pod wpływem klasycznej kuchni francuskiej, stawiającej na lokalne produkty i w szczególności świeże zioła zamiast egzotycznych przypraw. Paul Tremo, słynny kucharz Stanisława Augusta i organizator obiadów czwartkowych, w swym zbiorze przepisów opisał m.in. marynowanie kopru i szczawiu. Wiemy, że zioła uwielbiał ojciec króla, Stanisław Poniatowski. W jego rachunkach żywieniowych możemy się doszukać swojego sezonowego kalendarza nowalijek, gdy z tygodnia na tydzień na wiosnę pojawiały się szczaw, różne sałaty, portulaka czy rzeżucha. W XVII w. na dworze Zygmunta III Wazy i potem Władysława IV konsumowano duże ilości „gierszu”, czyli popularnego dziś na powrót podagrycznika.

Ziołami, warzywami i dzikimi roślinami szczególnie zafascynowany Paul Tremo. Ta zarazem oświeceniowa (poszukiwanie taniego pożywienia) i sentymalna (docenienie natury i dzikości) moda przejawiała się u niego prawdziwie naukowymi za-



interesowaniami. Kucharz Stanisława Augusta studiował dzieła botaniczne i sam w 1794 r. opublikował dziełko o suszeniu, kiszeniu, przechowywaniu i konserwowaniu roślin. Tremo zamieścił w swej książce specjalny kalendarz pojawiania się świeżych, sezonowych produktów. Już w marcu radził sięganie po rukiew wodną i jastrun, w kwietniu obok szczawiu, pokrzywy i młodych pędów chmielu można było jeść także topinambur (kłącza słonecznika bulwiastego, które można było wykopywać od jesieni do wiosny). W maju można już było znaleźć dziką cykorię (cykoria podróżnik), zebrać młode pączki jarumużu, szpinak, szczaw i pierwsze wiosenne grzyby, a w czerwcu i lipcu następował prawdziwy wysyp zieleniny i warzyw.

I kto tu nie je zieleniny?

[Sałsza z zielonego żyta, 1613 r.]

Sałsza z zielonego żyta czasu zimy dla wzbudzenia chęci do jedzenia bardzo przyjemna i użyteczna, tym sposobem uczyniona. Wziąć żyta zielonego abo w trawie, spłokać go dobrze i przez chustę co najlepiej wycuchnąc, żeby wilgotności żadnej w sobie nie miało, w moździerz utłuc abo w donicy uwiercić i sok z niego wyjąć, ze dwie grzańce z chleba rżanego upiec, w winnym octcie abo w agreście je rozmoczyć, sok z trawy żytnej na nie wlać i dobrze utrzeć, a potem przez gęste sitko przebić, soli, pieprzu i imbiru przydać. Tak kosztowna, bez wszelakiego kosztu, będzie przysmak do mięsa, do ryb.

Sz. Syreniusz, *Zielnik Herbarzem z ięzyka Łacinskiego zowią*, Kraków 1613.

[Barszcz zwyczajny, 1613 r.]

Niedźwiedzia łąpa albo wodny barszcz nie tylko do lekarstw, ale i do stołowych potraw przychodzi, zwłaszcza na wiosnę, gdy się z ziemie puszcza, warząc go miasto jarzyny z innymi ziołami, jako z chmielem młodym, z jaskrem albo żabińcem słodkim¹, z pokrzywami młodymi albo z szparagami, które gromowym korzeniem zowiemy. Jednak mniej go zawsze do używania brać niżli inych, bo by stolcem zbyt purgował.

Sz. Syreniusz, *Zielnik Herbarzem z ięzyka Łacinskiego zowią*, Kraków 1613.

Gromowy korzeń albo szparag [1613 r.]

Zaraz na wiosnę albo w pół wiosny jako u nas z ziemie chochołate ku wierzchu i spiczaste kielki

¹ Żabieniec babka wodna, *Alisma plantago-aquatica*, roślina lecznicza.

wypuszczają, których stoły obzarłe i pańskie, uważający z oliwą, z octem a z solą przyprawiwszy, chciwie używają, nie względem krwi przepolewania, ale niesytym brzuchom dogadzając. Gdy w wiechę wyrosną, wtenczas już nie są do używania przystojne. [...]

Do chciwego i łakomego używania przychodzą szparagi, gdy na wiosnę z ziemi kiełkami i szosikami wychodzą. Jedni miasto jarzyny w polewce mięsnej, tłustej i z mięsem warzą, a przed innymi potrawami naprzód używają dla odmiękczenia żywota, trochę pieprzem potrząsnawszy. Drudzy tylko przeważywszy ich z oliwą, z octem i z trochę soli przyprawują, a miasto sałaty i przysmaku jedzą. Inni w ocet je kładą i soli przydają, a jako kopr włoski albo zamorski², albo tłustosz³ kwaszą i przez rok chowają do stołowego przysmaku. Ale ich nie potrzeba długo warzyć, by je tylko ukrop obieżał, to zaraz zmięknieją, a za długim warzeniem rozpułnęłyby się. Chęć do używania innych potraw czyni.

Sz. Syreniusz, *Zielnik Herbarzem z języka Łacinskiego zowią*, Kraków 1613.

[Suszone warzywa liściaste, 1796 r.]

Na koniec wszystkie prawie liście młode, tylko że z nich niektóre wietrzeją, to jest smak i kwas tracą, mogą być suszone na powietrzu wolnym. Szczaw tak suszony potrzebuje w zażyciu octu. Ale zielenina wiosenna, np. pokrzywka młoda, roślina zwana komosa, lebioda etc., zasuszone na wolnym, to jest gdzie wiatr przechodzi, a słońca nie ma, powietrzu, jako i mała krajana rzepka, liście z wierchami brukwi są w gospodarstwie na wiosnę gotowane z krupami, użyteczne dla pracujących.

B. Dziekoński, *Przepisy rolnictwa i ogrodnictwa najnowszymi przykładami, wzorami i planami ekonomiki objaśnione i potwierdzone*, Supraśl 1796.

Chmielowe wyrostki [1827 r.]

Oczyszczone chmielone wyrostki ugotuj w wodzie na miękko; potem zasmaż kawałek masła z mąką w rondlu lub rynce, włóż spory zraz chudej szynki do tego, i parę cebul, osól i nalej bulionem. Ugotowane cokolwiek i czysto wymyte chmielowe wyrostki, włóż w tak przyprawiony sos, dodaj kawałeczek cuku i gotuj z wolna. Wydając na stół, przypraw sos



zółtkami z jaj i cytrynowym sokiem, wyjmij cebulę i szynkę, zaś tak przyprawione chmielowe wyrostki obłóż kotletami i daj na stół.

J. J. Szczepański, *Książka kucharska powszechna do użytku w każdym gospodarstwie*, Lwów 1827.

Zupa z pokrzywki [1837 r.]

Uzbierać w maju pokrzywki, wybrać samych listków kwartę, płukać na zimnej wodzie do czysta, aby piasek oddzielić, wyłożyć na sito, aby woda ściekła. Wrzucić do garnca wody wrzącej, zagotować dobrze, uważać aby była miękka, odlać na sito lub też na durszlak, przelać zimną wodą, wycisnąć, usiekać najdrobniej, przetrzeć przez rzadkie sito tyżką drewnianą, tak aby się pozostało na sicie włókno, mięk zgotowany w polewanym garnuszku bulion z trzech funtów cielęciny lub też z kury z dodaniem nieco potażerii, jako to: parę pietruszek, pół marchwi i jedną salerę. Proporcja wody do tego powinna być półtory kwarty gotując na wolnym ogniu, aby się została trzecia część, parę tyżeczek kawianych masła rozpuścić w małym polewanym tygielku, dodać pół tyżeczki mąki pszennej, zasmażyć na ogniu mieszając, włożyć do tego masła pokrzywki usiekanej kubek kawiany, rozmieszać dobrze, rozrobić tę masę trzecią częścią bulionu, zagotować na węgłach, (a nie na płomieniu) z wolna razy kilka i dawać choremu.

J. Szyttler, *Kuchmistrz nowy czyli kuchnia udzielna dla osób osłabionych*, Wilno 1837.

² *Crithmum maritimum*, zwany kowniatkiem, jego łodygi i liście używane były w celach kulinarnych.

³ Tłustosz pospolity, *Pinguicula vulgaris*, roślina owadożerna z rodziny pływaczkowatych, ma dwa rodzaje gruczołów na liściach: pierwsze wytwarzają śluz, drugie – enzymy trawienne.



Prof. Jarosław Dumanowski – kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarne na Wydziale Nauk Historycznych UMK

Wiktorja Bacharewicz

Małoletni w rodzinie

Europejskie Stowarzyszenie Studentów Prawa ELSA (jako oddział lokalny w Toruniu) oraz Katedra Prawa Cywilnego Wydziału Prawa i Administracji zorganizowały III Edycję Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej Prawa Rodzinnego.

W tym roku wydarzenie nosi tytuł: „Małoletni w rodzinie – aspekty prawne”. Odbędzie się ono 5 kwietnia w formie stacjonarnej na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Patronat prasowy nad imprezą objął „Głos Uczelni”.

W planach konferencji znalazły się np. problemy sharentingu oraz tego, w jaki sposób wpływa on na dalszy rozwój dziecka, tematy dotyczące pochodzenia dziecka, tego co znajduje się w odpisie zupełnym aktu urodzenia. Czy istnieje możliwość udowodnienia na podstawie aktu urodzenia, że dziecko nie zostało adoptowane? Prelegenci postanowili przedstawić dylematy związane z in vitro. Jak rodzina

LGBTQ+ jest postrzegana przez współczesne społeczeństwo oraz z jakimi problemami styka się na co dzień? Przedstawione zostały również zagadnienia rodziny transgranicznej. Jak w takich warunkach wygląda odpowiedzialność rodzicielska? Co się dzieje w momencie, gdy dziecko zostaje wywiezione przez jednego z rodziców za granicę? Inny z problemów to instytucja rodziny w czasie wojny.

Partnerem głównym konferencji jest WDS LEGAL. Konsorcjum Adwokackie. Patronat honorowy objęli marszałek województwa kujawsko-pomorskiego Piotr Całbecki oraz dziekan Wydziału Prawa i Administracji prof. dr. hab. Zbigniew Witkowski. Opiekunem naukowym wydarzenia była dr Ewa Kabza, adiunkt w Katedrze Prawa Cywilnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wszystkie informacje na temat konferencji znajdują się również na social mediach ELSA Toruń.

Józef Gawłowicz

Fenomen sekstantu

Gdy w 2018 roku podczas manewrów floty NATO na wodach norweskich Putin kazał wyłączyć swoją część GPS współpracującą z systemem amerykańskim, wówczas dzielni wychowankowie akademii morskich z Annapolis i West Point nie mogli trafić ze swoimi okrętami do Narviku.

Po tym incydencie kontradmirał dowodzący manewrami zarządził powrót do astronawigacji, więc kompendium sławnego uczonego amerykańskiego kapitana Nathaniela Bowditcha zostało niemal natychmiast wydane z trzema dodatkowymi rozdziałami rozszerzającymi wiedzę astronawigacyjną.

Dziekan Wydziału Nawigacyjnego Akademii Morskiej w Szczecinie prof. dr inż. Paweł Zalewski przywiózł do Polski te dane z konferencji Między-

narodowej Organizacji Morskiej w Londynie. Świat żeglugowy wreszcie zrozumiał, jak ważne są współcześnie autonomiczne systemy nawigacyjne i jak aktualne jest powiedzonko pewnego filozofa, że nic tak nie psuje powietrza jak rozkładająca się przyjaźń pomiędzy narodami. Wyciągnięto z nawigacyjnych szafek zakurzone skrzynki sekstantów i powrócono do rewelacyjnych w swojej prostocie pomiarów kątomierzem lusterkowym, w którym nieskończenie cienki promień od gwiazdy pada na idealnie płaską powierzchnię lusterek i po sprowadzeniu na ostrą jak nóż linię widnokregu wyznacza jej dokładną wysokość. – To chytre rozwiązanie pozwalające nawigatorowi widzieć w połówce lustrzanej odbity obraz gwiazdy i równocześnie w połówce przezroczystej poziomą linię widnokregu – wyjaśnia autor „Seks-

tantów”. – Właśnie wtedy, gdy ta linia oddzielająca ciemniejszą wodę od jasnego nieba zostanie „dotknięta” przez obraz gwiazdy, rączka lusterka ruchomego wskazuje jej wysokość.

To samo dzieje się z dolnymi lub górnymi krawędziami Słońca i Księżycy, obiektami, których nie można zgasić ani przesunąć, gdyż tam przed czasy umieścił je Pan Bóg na kopule nieba. Polowanie sekstantem na najgrubszą zwierzynę kosmosu należy ponadto do bardzo męskiego zajęcia górującego nad polowaniem bronią palną, gdyż zamiast zabijania daje w efekcie dokładne pozycje statków na morzu, aby pasażerowie i załoga mogli spokojnie spać i bezpiecznie doплыć do portu przeznaczenia, a okręty wojenne skutecznie tropić wroga.

Idea sekstantu

Według Conrada kilkadziesiąt tysięcy lat temu nasz kudłaty przodek siadł na zwałonym do wody pnia-ku i odpychając się drągiem od dna, odbył pierwszą w dziejach ludzkości podróż w żegludze przybrzeżnej. Od tamtej – nieznaney nam – daty rozpoczęła się historia nawigacji po morzach i oceanach. W odległej starożytności człowiek zastąpił pień wydrążonym czółnem, a później wy pływał w dłuższe już rejsy łodzią żaglową. Początkowo trzymał się brzegu morza, ale gdy tylko ląd znikał mu z oczu, zmuszony był określać pozycje swojej łupinki, bo inaczej nie tylko nie odkryłby żadnego nieznanego lądu, ale też nigdy nie wróciłby do miejsca, z którego wyruszył.

Szerokość geograficzna obserwatora z pomiaru wysokości Gwiazdy Polarnej była najprostszym i najstarszym sposobem określenia pozycji okrętu na otwartym morzu. Gwiazda Polarna jest tak odległa od Ziemi, że obserwator z dowolnego punktu na jej powierzchni widzi gwiazdę w tym samym kierunku (rycina 1). Obserwator na szerokości 40° zmierzył wysokość Gwiazdy Polarnej, która wynosi właśnie 40° , gdyż kąty o ramionach wzajemnie prostopadłych są sobie równe.

Obserwator na każdym okręcie będącym na szerokości 40° zmierzy oczywiście tę samą wysokość. Czterdziesty równoleżnik, będąc „wspólnym” dla tych obserwatorów, jest w nawigacji nazywany astronomicznym kołem pozycyjnym. Ten rodzaj określania pozycji stosowali w starożytności Fenicjanie, Grecy i Rzymianie, a podługowaty kształt Morza Śródziemnego podsunął żeglarzom termin „długość geograficzna”. Paradoksalnie określano jednak nie długość, lecz szerokość geograficzną.



Ryc. 1. Szerokość z Gwiazdy Polarnej

U progu wielkich odkryć geograficznych, kiedy posuwający się w kierunku równika żeglarze portugalscy donieśli, że nie mogą obserwować już Gwiazdy Polarnej, zaczęto używać drugiego sposobu określania pozycji: szerokości z kulminacji Słońca. Główną rolę odgrywa tu południk pozycji obserwatora. W samo południe na nieznaney szerokości geograficznej okrętu obserwator zmierzył wysokość Słońca, która wynosi 50° . Aby obliczyć szerokość geograficzną, na której jest okręt, należy tę wysokość odjąć od kąta prostego, otrzymując 40° . I tutaj równoleżnik czterdziesty jest astronomicznym kołem pozycyjnym – wszyscy znajdujący się na nim obserwatorzy w południe okrętowe zmierzą taką samą wysokość Słońca.

Niestety wszyscy ówczesni nawigatorzy borykali się z małą dokładnością pomiarów (używając astrolabium lub kwadrantu) jeszcze przez dwa wieki, do czasu wynalezienia sekstantu, czyli kątomierza lusterkowego. Drogę rozwojową kątomierzy lusterkowych zapoczątkował londyński fizyk i matematyk, członek Royal Society, Robert Hooke w roku 1666, ale nie doprowadził jej do końca, chociaż był już na dobrym tropie.

Dopiero Izaak Newton (jak głosi legenda) w noc sylwestrową 1699 zauważył, że panie poprawiające swoje fryzury trzymając lusterko na ręczce pionowo, widziały w nim własną twarz, a jeśli odchyłały lusterko o 45° widziały stiuki na suficie. Jeśli więc obserwator odchyli płaszczyznę lusterka od pionu o 45° , to obserwator zobaczy gwiazdę znajdującą się w zenicie. Gdyby lusterko

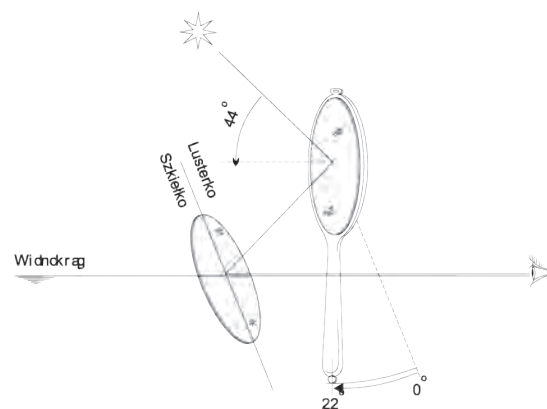
zamocować na osi, to jego rączka, przesuwając się po wyskalowanym łuku, wskaże nam zawsze kąt dwa razy mniejszy od wysokości gwiazdy. Podstawowym niedomaganiem takiego kątomierza jest możliwość mierzenia wysokości gwiazd znajdujących się wyłącznie za obserwatorem, przy czym gwiazdy znajdujące się nisko nad widnokregiem będzie on zasłaniał swoją głową. Niedogodność tę usunął Newton, stosując kątomierz z dwoma lusterkami taki, że można mierzyć nim wysokość ciał niebieskich znajdujących się przed obserwatorem). Opis tego wynalazku został przetrzymany w biurku do roku 1731 przez astronoma Edmunda Halleya, prezydenta londyńskiego Royal Society – a więc ponad trzydzieści lat!

W roku 1732 szklarz z Filadelfii Thomas Godfrey uzyskał patent na ten przyrząd nawigacyjny i tę datę uważa się za czas powstania sekstantu. Czymże jest więc ten niezwykły instrument? Sekstant to kątomierz lusterkowy, który dzięki wysokiej dokładności i związaniu pomiaru z ostrą linią widnokregu (zamiast trudnego do ustalenia na kotłującym się statku pionu) do dziś skutecznie konkuruje z innymi mniej udanymi rozwiązaniami. Pamiętamy z dziecińczych baśni pisanych przez mistrza Jana Brzechwę, że lis Witalis „miał lusterko posrebrzane, które z tego było znane, że gdy czyhał ktoś na lisa, powstawała na nim rysa”. Wypolerowane metalowe płytki sekstantu stały się dla nawigatorów czarodziejskimi zwierciadłami, pozwalającymi przekroczyć barierę dokładności.

Lusterko ma powierzchnię tak ustawioną, że pada na nią promień biegnący od gwiazdy, która znajduje się przed obserwatorem, dlatego na jego drodze musi być umieszczone jeszcze jedno lusterko, aby promień odbity po raz drugi wpadł następnie do oka obserwatora. To drugie, nieruchome lusterko jest dodatkowo podzielone na dwie połowy, z których jedna jest rzeczywistym lusterkiem, a druga przezroczystym szkłem. To chytne rozwiązanie pozwala nawigatorowi widzieć w połówce lustrzanej odbity obraz gwiazdy i równocześnie w połówce przezroczystej poziomą linię widnokregu. Właśnie wtedy, gdy ta linia oddzielająca ciemniejszą wodę od jasnego nieba zostanie „dotknięta” przez obraz gwiazdy, rączka lusterka ruchomego wskazuje jej wysokość (rycina 2).

Na rycinie 2 przedstawiono ideę kątomierza Newtonowskiego z dwoma lusterkami – ozdobne lusterko z rączką ma powierzchnię odbijającą tak ustawioną, że odbija się od niej promień biegnący od gwiazdy znajdującej się przed obserwatorem, to-

też na jego drodze musi być ustawione jeszcze jedno lusterko, aby promień odbity po raz drugi wpadł następnie do oka obserwatora. To drugie nieruchome lusterko jest jeszcze dodatkowo podzielone pionowo na połowy, z których jedna jest lusterkiem, a druga przezroczystym szkłem. To rozwiązanie pozwala nawigatorowi widzieć w połówce lustrzanej odbity obraz gwiazdy i równocześnie w połówce przezroczystej poziomą linię widnokregu. Wtedy właśnie, gdy ta linia oddzielająca ciemniejszą wodę od jasnego nieba zostanie „dotknięta” przez obraz gwiazdy, rączka lusterka ruchomego wskazuje jej wysokość, z tym że odchylenie o 22° od położenia zerowego odpowiada wysokości gwiazdy wynoszącej 44° , a więc dla wygody należy skalować podziałkę od razu w podwójnym zagęszczeniu. Nazwa sekstant pochodzi od liczebnika łacińskiego – instrument sporządzony przez Godfreya pozwalał mierzyć kąty od 0° do 120° , a więc łuk na którym była podziałka, wynosił 60° , co jest szóstą częścią koła. Kątomierz Hadleya miał łuk wynoszący ósmą część koła, stąd nazwa oktant – dziś każdy z tych instrumentów nazywany jest umownie **sekstantem**. Zasada działania oktantu i sekstantu jest identyczna.



Ryc. 2. Idea sekstantu

Próby przeprowadzone na otwartym morzu z użyciem sekstantu wykazały, że można nim mierzyć kąty z dokładnością daleko większą od wymaganej, gdyż promień światła jest linią nieskończenie cienką, to znaczy, że nie ma grubości, a więc odbity od gładzi lusterka daje idealny dla nawigacji pomiar wzniesienia ciała niebieskiego nad widnokregiem. Rycina 2 przedstawia uproszczony obraz sekstantu. Lusterka przedstawione są jako krawędzie, a lunetka obserwacyjna skierowana jest na lusterko nieruchome, podzielone na część odbijającą i przezroczystą. Podstawa ramy nazywa się limbusem i zawiera

podziałkę. U szczytu znajduje się oś obrotu ramienia ruchomego nazywanego alidadą, której drugi koniec ślizgający się po limbusie ma wycięte okienko z podziałką nazywane w Polsce noniusem.

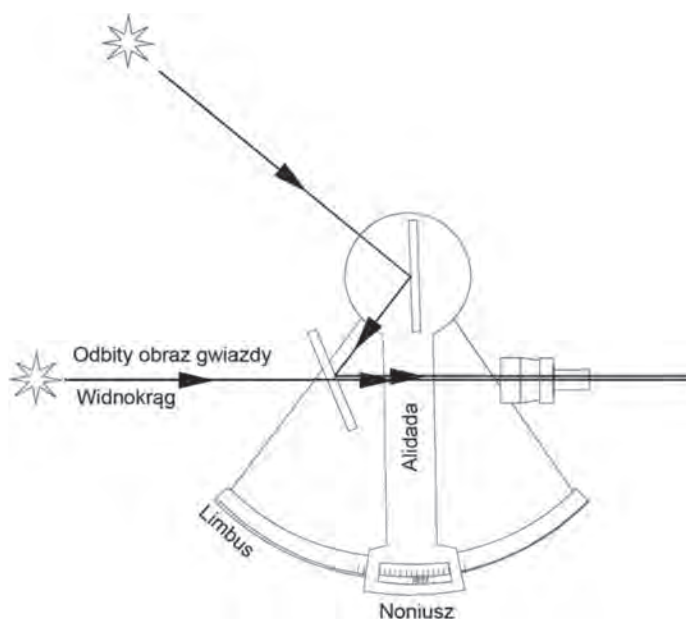
Wynalezienie sekstantu ma dla nawigacji bardzo doniosłe znaczenie – stworzono instrument, za pomocą którego można określać podczas dobrych warunków pozycję przez cały dzień ze Słońca, a o świcie i o zmierzchu z gwiazd. Przyrząd był prosty i miał nieskomplikowaną budowę, a więc mógł być produkowany w małych warsztatach.

Dawne warsztaty nawigacyjne mieściły się zazwyczaj nad brzegiem morza, aby żeglarz nabywający sekstant mógł widzieć z werandy linię widnokręgu, wyregulować przyrząd i zmierzyć kontrolnie wysokość Słońca. Ten przesadny – wydawałoby się – rytuał miał jednak ogromne znaczenie: sekstant stawał się dla nawigatora czymś więcej niż kusza dla strzelca czy szpada dla kawalera maltańskiego; uczył go kultury zawodowej i budził szczególne przywiązanie, ugruntowane wyłącznie posiadania i doznaniem estetycznymi, ale głównie poczucia bezpieczeństwa w żegludze oceanicznej.

Współczesne sekstanty, posiadające zamiast noniusza śrubę mikrometryczną z bębniem, którego obwód podzielony jest na sześćdziesiąt działek minutowych, pozwalają po interpolacji na odczyt z błędem wynoszącym dziesięć sekund kątowych. Na pełnym morzu, nawet dla celów ratowniczych, wymagana jest dokładność określania pozycji do dwóch minut kątowych, czyli dwóch mil morskich, a więc promienia, w jakim można dostrzec człowieka na powierzchni wody za pomocą lornetki. I choć do błędów pomiaru należy jeszcze dodać błędy obliczeń, w dodatku warunki obserwacji nie zawsze przecież są idealne, to jednak sekstant ze swoją dokładnością wyprzedza zapotrzebowanie nawet dziś, kiedy odbywamy podróże w kosmos, a jego niezawodność ze względu na prostotę konstrukcji jest nieporównywalna z żadnym innym przyrządem, który służy do określania pozycji podczas żeglugi przez ocean.

Książka mojego autorstwa *Astronawigacja wykreślona* opublikowana przez Wydawnictwo Naukowe Akademii Morskiej w Szczecinie w roku 2017 wyprzedziła o rok wybryk Putina (czego można się było spodziewać, czytając uważnie literaturę fachową).

W rozwoju udoskonalania sekstantu przez dłużej lata używano zamocowanej na końcu alidady śruby obracanej palcami – było więc protoplasta odczytu z wykorzystaniem mikrometru. Kiedy zamiast

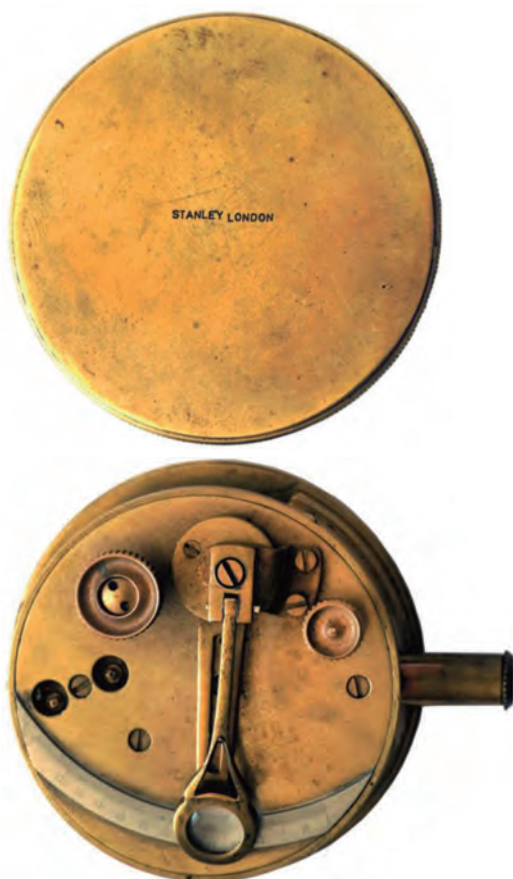


Ryc. 3. Schemat sekstantu

zwykłej śruby zamontowano bębenek z 60 minutami kątowymi na obwodzie, wówczas pełen obrót bębniaka przesuwał po limbusie ramię z lusterekiem ruchomym o jeden stopień, a 1/60 obrotu bębniaka to po wykreśleniu na mapie jedna mila morska, czyli 1852 metry. Wówczas dokładność pomiaru do minuty kątowej wyprzedzała epokę, stąd sekstantów używano przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat i do



Ryc. 4. Piękny i świetnie zachowany XVIII-wieczny duży oktant hebanowy z grawerowaną alidadą (Muzeum Narodowe w Szczecinie)



Ryc. 5. Sekstant puszkowy Stanley'a z 1936 roku o średnicy 3 cali. Pokrywa po odkręceniu zamienia się w uchwyt dla jednej ręki a drugą obserwator porusza alidadą używając największego górnego lewego pokrętkła. Prawe mniejsze pokrętkło to kluczyk do regulacji lusterek. Należy jeszcze wysunąć lunetkę.

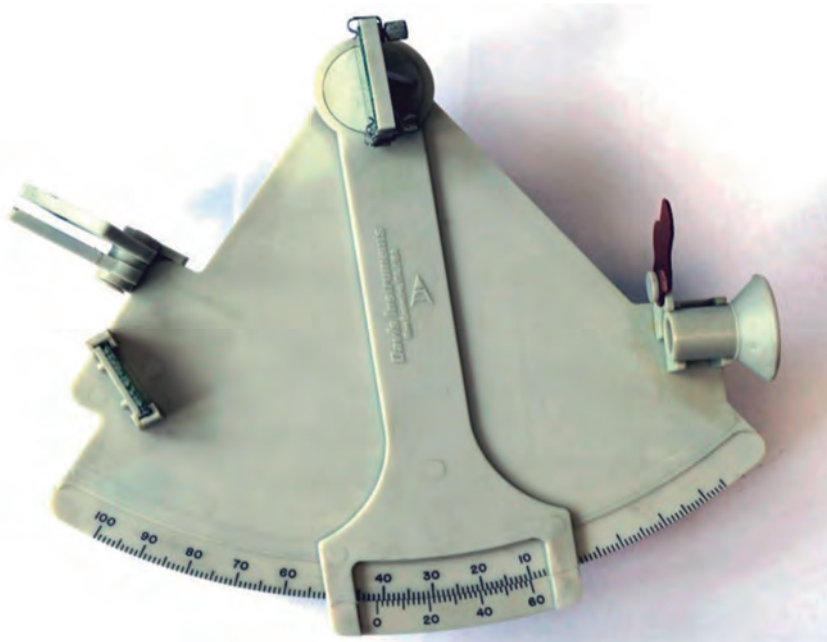
dzisiaj były one instrumentami rezerwowymi na wypadek awarii GPS. Teraz po sztuczce Putina wróciły do łask. Pierwsze oktanty i sekstanty miały ramę z hebanu, alidadę oraz lunetki z mosiądzu, natomiast skalę na limbusie z kości słoniowej.

Dzisiejsze sekstanty wykonane są całkowicie ze stopów metalowych (ewentualnie najtańsze z tworzyw sztucznych). Hebanowe sekstanty są antykami pożądanymi przez muzea morskie i prywatnych kolekcjonerów. Z sekstantów mosiężnych rarytasem są angielskie instrumenty Mercera, twórcy chronometrów okrętowych.

Oprócz wielkiej prostoty klasyczny sekstant należy do wyjątkowo taniego wyposażenia technicznego. Cena najlepszych współczesnych sekstantów osiąga około 2000 USD, zaś służący jachtmenom i studentom plastikowy kosztuje 19 USD.

W literaturze fachowej można znaleźć informacje o angielskich miniaturowych sekstantach puszkowych (średnica 3 cale, czyli ok. 8 cm), noszonych w kaburze niczym rewolwer. Jeden z najstarszych takich przyrządów posiada w swojej kolekcji właściciel hotelu „Morskie Opowieści” w Dziwnowie.

Kapitan żeglugi wielkiej Józef Gawłowicz – wykładowca w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie, pisarz, w latach 1963–1989 tajny kurier paryskiej „Kultury” do Polski; był także publicystą tejże „Kultury”, pisując do niej artykuły pod pseudonimami



Ryc. 6. Sekstant „studencki” z tworzywa sztucznego Mark III USA

Sekstanty to tytuł książki kapitana żeglugi wielkiej Józefa Gawłowicza, pisarza marynisty, wydanej przez Morskie Centrum Nauki. Poświęcona jest urzędzeniu, które przez trzy stulecia było podstawowym instrumentem nawigacyjnym, jakkolwiek w epoce GPS było przyrządem pomocniczym, używanym sporadycznie. Dziś sytuacja uległa odwróceniu. Kapitan Gawłowicz w interesujący sposób opisuje dzieje sekstantu oraz przytacza wiele historii i anegdot z nim związanych. Książka jest bogato ilustrowana, uzupełniona rycinami i zdjęciami ze zbiorów autora.

Marcin Lutomiński

Zagadki tradycji wielkanocnych w Polsce

Wielkanoc, podobnie jak Boże Narodzenie, na ziemiach polskich obrosła licznymi i niekiedy zaskakującymi tradycjami. Mimo że wiele obrzędów i zwyczajów narodziło się w zamierzchłej przeszłości, to niektóre z nich w zmienionej lub szczątkowej postaci są kontynuowane do dziś. Obok tych najbardziej znanych występują również takie, które obecnie wydają się zagadkowe. Przyjrzyjmy się wybranym przykładom z drugiego kręgu i świata katolickiego.

Dyngus (Śmigus-dyngus)

Obecnie zwyczaj ten jest znany jako zabawa, popularna szczególnie wśród dzieci i młodzieży, odbywająca się w Poniedziałek Wielkanocny, nazywany Lanym Poniedziałkiem. Jednak dawniej miał on charakter obrzędowy i trwał co najmniej dwa dni. Była to – jak mówi Jędrzej Kitowicz – „[...] swawola powszechna w całym kraju tak między pospółstwem, jako też między dystygowanymi: w poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i w inne następujące dni kobiety mężczyzn,

uzurpując sobie tego prawa aż do Zielonych Świątek, ale nie praktykując dłużej jak do kilku dni” (Kitowicz 2003: 288). Z innych tekstów źródłowych wynika, że nie na wszystkich ziemiach polskich praktykowano świąteczne polewanie się wodą. Na północy popularne było i sporadycznie wciąż jest smaganie zielonymi gałązkami (witkami) lub uplecionymi z nich batami. Był to tzw. suchy lub zielony śmigus; sama nazwa śmigus wywodzi się z języka niemieckiego: *schmechen* – **bić**. Inną, zamienną, nazwę tego zwyczaju podaje red. Winicjusz Schulz: „Pamiętam z dzieciństwa, że w Toruniu zwyczajowi biczowania witekami nóg towarzyszyły okrzyki *Boże rany*” (cytat z rozmowy, marzec 2024).

Natomiast dyngus (po niemiecku: *dingen* – wykupywać) był formą kolędowania, a więc rytualnego odwiedzania domostw w celu zapewnienia im szeroko rozumianej pomyślności. W dawnej Polsce mówiono m.in. o chodzeniu po wółczebnem w drugi dzień Świąt. Młodzież męska wędrowała z różnymi rekwizytami, np. kogutkiem (kurkiem), składała życzenia świąteczno-wiosenne, śpiewała pieśni religij-



Kartka świąteczna, 1. poł. XX w. (fot. Polona)



Kartka świąteczna, 1. poł. XX w. (fot. Polona)

ne i zalotne, a także przymawiała się o dary. Często odwiedziny były połączone z oblewaniem wodą panien na wydaniu.

Pierwsze wzmianki o śmigusie-dyngusie na naszych ziemiach pochodzą z XV wieku. Wówczas dokumenty kościelne nakazywały księżom, by przeciwstawiali się owym pogańskim zwyczajom. Tymczasem to, co praktykowano na ziemiach polskich, było reliktem odwiecznych zabiegów magicznych (dotknięcie zieloną gałęzią, bezpośredni kontakt z wodą). Miały one zapewnić – jak przypomina etnograf Barbara Ogrodowska – „[...] dostatek deszczu, ciągłość vegetacji i plenność roślin, obrzędowe oczyszczenie, urodę, zdrowie, siły [...], płodność, liczne i zdrowie potomstwo” (Ogrodowska 2001: 213).

Palmowanie

Nawet do lat 90. XX wieku na terenie wschodniego Mazowsza w Niedzielę Kwietną (inaczej zwaną Wierzbną lub Palmową) praktykowano zwyczaj palmowania, który polegał na tym, że przed świtem kawalerowie z wierzbowymi gałązkami (witkami) przychodzili do domów wybranych panien. Drzwi otwierali im dziadkowie lub rodzice i pozwalali na zdejmowanie kołder oraz smaganie „palmami” po nogach. Wołano przy tym: „Palma bije, nie zabije,

Wielki Dzień za tydzień. / Rano wstawaj, bydłu dawaj, / Pozamykaj, pozapieraj, do kościoła się wybieraj” albo „Palma bije, nie zabije, / Stare koćki, nowe kije. / Pamiętajcie chrześcijanie, / Że Pan Jezus zmartwychwstanie” (Rumiński 2012: 10).

Przy okazji warto wspomnieć, że lud polski wierzył w magiczne moce wielkanocnej palmy oraz zdrowotne właściwości bazich kotków, których połknięcie przez człowieka miało zapobiegać m.in. bólowi gardła, głowy i brzucha.

Rękawka

Co najmniej od XV wieku w pierwszy wtorek po Wielkanocy krakowianie udawali się na wzgórze na Krzemionkach zwane Rękawką. Tam palili ogniska i zrzucali ze stromej góry jaja, bułki, chleb, orzechy, jabłka, pierniki i inne przysmaki, o które ubodzy (także żacy) wszczylnali awantury i bijatyki. Zarówno duchowni katoliccy, jak i późniejsi zaborcy, zakazywali zrzucania żywności i bójek o nią, aż w końcu zwyczaj rękawki przekształcił się w wielkanocny festyn o nieco spokojniejszym charakterze.

Zygmunt Gloger wywodził tę tradycję z „[...] lechicko-słowiańskiej stypy pogrzebowej i ugoszczenia tłumów ludu zebranego niegdyś na obrzęd pogrzebowy Krakusa w celu usypania mogiły swemu ukochanemu władcy. Sypano ją rzeczywiście rękoma i «rękawka» oznacza tylko górę nie rękawami, ale rękoma tłumy nanoszoną” (Gloger 2012: 211).

Turki

Tradycja wystawiania straży przy Grobie Pańskim jest bardzo stara i zróżnicowana. Jej odmianą o rodowodzie prawdopodobnie XVII-wiecznym (od zwycięskiego powrotu wojsk polskich spod Wiednia) są *turki*¹, którzy pełnią honorową wartę od Wielkiego Piątku do mszy rezurekcyjnej. Dziś można jeszcze spotkać ich w Małopolsce, Wielkopolsce, a także w co najmniej dwóch miejscowościach na Mazowszu – Drobinie i Górze. Tutaj zwyczaj o nazwie *turki* ma charakter zarówno paraliturgiczny (straż milcząco uczestniczy w nabożeństwach), jak i ludyczny, gdyż stanowi widowiskową atrakcję. Zwłaszcza podczas rezurekcji, kiedy najpierw *turki* pilnują porządku w czasie procesji i stanowią asystę niesionego przez kapłana Najświętszego Sakramentu. Później zaś *turki* z mazowieckiej Góry

¹ Pisownia małą literą zgodna ze współczesnymi zasadami poprawnościowymi. Spotykane są również wersje: Turki, „Turki”.

w momencie Podniesienia jednocześnie padają na ziemię – zgodnie z ewangelicznym przekazem o przerażonych strażnikach rzymskich. Po chwili *turki* groźnie, acz w popłochu, przeciskają się przez stojących w kościele wiernych i głównymi drzwiami wybiegają ze świątyni. Natomiast w podkarpackich miejscowościach odbywają się specjalne parady *turków* oraz innych „formacji” tworzących straż Grobu Pańskiego (zob. więcej: Lutomiński 2006: 17).

Wieszanie, grzebanie, topienie, palenie

Znany kronikarz, Jędrzej Kitowicz, wspominał, że w Wielki Piątek lub Wielką Sobotę czeladź dworska przywiązywała śledzia nitką do powrozu, po czym wieszała go nad drogą na drzewie – w ramach kary za to, że w czasie postu panował nad mięsem (Kitowicz 2003: 287).

Wymyślano również pogrzeb żuru, który był już dłużej niepotrzebny... Namawiano jakiegoś biednego i naiwnego przechodnia, żeby niósł na plecach w sieci garnek z żurkiem albo trzymał go na głowie. Wtedy niespodziewanie ktoś z czeladzi uderzał w garnek i żur oblewał niosącego. Czasem garnek z żurem rozbijano lub zakopywano.

Znacznie gorzej traktowano kukłę Judasza. W różnych regionach Polski ów „apostoł” ponosił i gdzieś widać wciąż ponosi najsurowszą karę za swoją zdradę. Zwykle w Wielki Czwartek (czasem w Wielką Środę lub Wielki Piątek) wykonywano jego kukłę ze słomy i ubierano w czarne podarte szaty, a następnie prowadzono na tzw. ciemną jutrznię (nabożeństwo liturgiczne). Później niesiono go na cmentarz, gdzie zbierał cięgi wymierzone kijami i drewnianymi pałaszami wśród wrzawy i śmiechu zebranego tłumu. Kolejny raz okładano go po przewiezieniu taczka do plebanii i dworu, na końcu zaś topiono kukłę w rzece lub stawie, wieszano tudzież palono. Najbardziej widowiskowe, znane także z obrazów telewizyjnych i dłuższych nagrań dostępnych w serwisie Youtube, jest niszczenie kukły w miejscowościach na Podkarpaciu (m.in. w Pruchniku). Zwyczaj ten, zwany m.in. *judaszkami*, w przeszłości był „[...] często pretekstem do wystąpień antysemitycznych, bicia Żydów, niszczenia im kramów, wybijania szyb w mieszkaniach itd.” (Ogrodowska 2001: 75, zob. też: Kitowicz 2003: 286–287).

Wyścigi

Na Mazowszu (i nie tylko) po zakończeniu mszy rezurekcyjnej część wiernych wybiegała do swoich bryczek i wozów, żeby jak najszybciej dostać się do

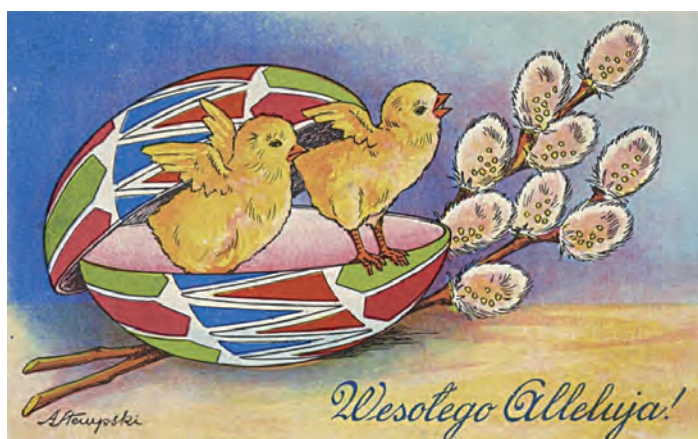


Kartka świąteczna, 1937 r. (fot. Polona)

domów. Zdarzało się, że w tym pośpiechu zapomiano o pozostałych członkach rodziny... Pędzono niegdyś różnymi powozami, a później samochodami, „ścigając się na pszenicę”. Oznaczało to, że pierwszy wjeżdżający do wsi miał zapewnione najlepsze plony pszenicy w danym roku. Oczywiście, po drodze nie obyło się bez rozmaitych wypadków...



Turki w Górze, pow. plocki, 2005 r. (fot. Marcin Lutomiński)



Kartka świąteczna, 1938 r. (fot. Polona)

Zdobienie i tłuczenie jaj

Na ziemiach polskich popularne było i jest zdobienie jaj, które trafiają na stoły w pierwszy i drugi dzień Świąt. Tradycyjnych sposobów praktykowania tego zwyczaju jest wiele. Niektórzy gotują jaja, dodając do wody łupiny cebuli albo listki młodego żyta, a później rysują na nich rozmaite wzory; inni dekorują je woskiem. W Puszczy Białej ozdabia się jaja m.in. za pomocą kolorowej włóczki, a w okolicy Sanik w powiecie gostyński są one oklejane kolorowymi wycinankami, często z motywami kogutka, pawia czy drzewka. Jak wiadomo, w zależności od stosowanej techniki wielkanocne jaja są nazywane

są kraszankami (kraszankami, kroszonkami) lub pisanekami.

Do dziś w różnych częściach Polski podczas wielkanocnego śniadania tłucze się jaja w taki sposób, że jedna osoba uderza jajem w jajo trzymane przez inną osobę. Czasem trwa to dłuższą chwilę i przeradza się w zabawową rywalizację. Oczywiście, wszystkie jaja powinny być później zjedzone. O tłuczeniu malowanych jaj wspomina już Wincenty Kadłubek w XIII-wiecznej kronice, choć na ziemiach obecnej Polski zwyczaj ten był prawdopodobnie znacznie starszy, ponieważ odnalezione fragmenty skorup dekorowanych jaj pochodzą z X wieku (Ogrodowska 2001: s. 161). Wszystko to wiąże się z kultową i magiczną rolą jaja w kulturach tradycyjnych różnych części świata.

Dzięki lekturom, obserwacjom i rozmowom wiele z tych tradycji przestaje być zagadkowymi, choć nie przestaje intrygować. Warto dociekać ich sensu nie tylko na użytek naukowy, lecz także prywatny, by lepiej zrozumieć zachowania wielu dawnych i współczesnych rodaków, a być może także usłyszeć dalekie echo słowiańskich przodków...



Dr Marcin Lutomierski — pracownik Wydawnictwa Naukowego UMK, współpracownik Wydziału Humanistycznego UMK, członek m.in. Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego

Literatura (wybór)

- Gloger Zygmunt 2012: *Rok polski w życiu, tradycji i pieśni*, Warszawa (reprint wydania z 1900 r.).
- Kitowicz Jędrzej 2003: *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, wstęp Maria Dernałowicz, Warszawa.
- Lutomierski Marcin 2006: *Wielkanoc w Górze*, „Głos Uczelni. Pismo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika”, nr 4.
- Lutomierski Marcin 2017: *Z dawnych tradycji wielkopostnych i wielkanocnych*, „Głos Uczelni. Czasopismo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika”, nr 4.
- Ogrodowska Barbara 2001: *Zwyczaje, obrzędy i tradycje w Polsce. Mały słownik*, Warszawa.
- Rumiński Robert 2012: *Wielkanoc na Mazowszu*, Sierpc.



Fragment ekspozycji w Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej w Rypinie, 2023 r. (fot. Marcin Lutomierski)

Lubow Żwanko

Tradycje wetykodnie (wielkanocne) Ukrainy Słobodzkiej

Polacy i Ukraińcy obchodzą co roku jedno z najważniejszych świąt chrześcijańskich – zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, którego tradycje sięgają dawnych czasów. W polskiej tradycji ten dzień jest nazywany: Wielkanoc, a w ukraińskiej – Wetykdeń (ukr. Великдень, Wielki Dzień).

W dzisiejszych czasach święto w Ukrainie to święto w okresie strasznej wojny, w której najbardziej cierpią tereny przygraniczne. W poniższym artykule zostanie pokrótce omówione, jak Wetykdeń był i nadal jest obchodzony na ziemiach pogranicza – Ukrainie Słobodzkiej.

Ukraina Słobodzka – co to za ziemia?

Jeszcze w średniowieczu wschodnie tereny Rusi Kijowskiej stały się forpocztą w walce z najzacieklejszym wrogiem ówczesnego słowiańskiego świata – hordą mongolsko-tatarską. Spalona i splądrowana ziemia, zniszczona ludność staroruskich grodzisk doprowadziły do tego, że na kilka stuleci terytorium współczesnej Słobożańszczyzny zamieniło się w Dziekie Pole. Pod taką nazwą pojawiają się te ziemie na słynnej mapie 1648 roku autorstwa Guillaume le Vasseur de Beauplana – francuskiego inżyniera wojskowego, pisarza i kartografa.

Osadnictwo tego obszaru zaczyna się stopniowo od połowy XVII wieku i w ten sposób kształtuje się Ukraina Słobodzka, kraina historyczno-geograficzna w północno-wschodniej Ukrainie. Obecnie zajmuje ona tereny obwodów charkowskiego, sumskiego, północ donieckiego i ługańskiego, a także południowo-wschodnią część obwodu woroneskiego, południową część kurskiego i większość obwodu biełgorodzkiego Federacji Rosyjskiej (Жванко 2011: 14).

Termin „Ukraina Słobodzka” („Słobodzszczyzna”, „Słobożańszczyzna”) pochodzi od formy osiedla „słoboda”, ta zaś od słowa „swoboda”. Inaczej mówiąc, Ukraina Słobodzka oznacza „Wolną Ukrainę”. Oficjalna nazwa „Ukraina Słobodzka” funkcjonowała z niewielkimi przerwami od drugiej połowy XVII wieku do 1835 roku, kiedy powstała guber-



Ukraina Słobodzka. Mapa, źródło: https://uk.wikipedia.org/wiki/%D0%A1%D0%BB%D0%BE%D0%B1%D1%96%D0%B4%D1%81%D1%8C%D0%BA%D0%B0_%D0%A3%D0%BA%D1%80%D0%B0%D1%97%D0%BD%D0%B0#/media/%D0%A4%D0%B0%D0%B9%D0%BB:Ukraine-Slobozhanshchyna.png (Domena publiczna)

nia charkowska z centrum w Charkowie (Żwanko 2016: 26).

O tych, którzy zostali pierwszymi mieszkańcami tych terenów, charkowski historyk Dmytro Bagalij (1857–1932) zanotował: „Duża siła ludności przybyła przysła do Słobidczyny z Hetmanszczyzny z Lewobrzeża, a jeszcze więcej z Prawobrzeża. Właściwe osadnictwo Słobożańszczyzny składa się z różnych grup etnograficznych narodu ukraińskiego” (Багалій 1991: 28). Przyszli na te tereny również Ukraińcy z sąsiedniej Połtawszczyzny. Przesiedleńcy przynieśli na te ziemie swoje tradycje, które z czasem zaczęto nazywać tradycjami słobożańskimi. Całe życie Słobodażan, czyli mieszkańców tych terenów, wypełnione było różnymi zwyczajami i obrzędami, obchodzeniem licznych świąt prawosławnych i niektórych dni tygodnia. Piękne przedstawienia przeplatały się z ciężką pracą rolniczą. Szanowano święta, co wynikało głównie z potrzeb religijnych. Dwa najważniejsze święta to Boże Narodzenie i Wetykdeń (Wielkanoc), podczas których przygotowywano



Mykola Pymonenko „Wielkanocna poranna modlitwa w Malorozii” 1891, źródło: https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/0/00/PimonenkoNK_PashalZautrRYB.jpg (Domena publiczna)

specjalne jedzenie, wybrzmiewały specjalne pieśni, a ze skrzyń wyjmowano nowe ubrania. Ze świętami mocno związane były wierzenia, przysłowia i legendy.

Istota Wetykodnia

Przed Wetykodniem – zwieńczeniem wiosennych świąt – człowiek musiał przejść symboliczne kamienie milowe: Błagowieszczennia (Zwiastowanie), Niedzielę Wierzbową (Niedzielę Palmową), Czysty Czwartek. Przed Wetykodniem wierzący przygotowują się do siedmiu tygodni Wielkiego Postu – jednego z najsurowszych postów – ponieważ tyle czasu Jezus spędził na pustyni przed swoim ukrzyżowaniem. Szczególne znaczenie ma Wielki Czwartek – dzień, w którym Jezus spożył uroczysty posiłek ze swoimi uczniami podczas Ostatniej Wieczerzy. Dzień ten nazywany jest także Czystym Czwartkiem i wszyscy prawosławni starają się przystępować do Eucharystii. W noc Zmartwychwstania Chrystusa odprawia się uroczyste nabożeństwo (Wetykodnie Nabożeństwo Boże). Głównymi atrybutami Świąt Wetykodnich są chleb rytualny – paska i w specjalny sposób zdobione jaja: pisanka (pysanka – ukr.) – jako symbol początku stworzenia świata, zarodek życia

oraz farbowane jajo – kraszanka – które jest faktycznie symbolem samego święta (Жванко 2011: 129).

Paska jako symbol początku stworzenia świata

Pięknie zdobiona, pachnąca paska była i jest nadal symbolem święta, w którym Pan Bóg przychodzi do każdego domu. Paski pieczono najczęściej w dużej liczbie, w ceberkach lub wiaderkach. Od góry paski zdobiono uformowanymi z ciasta krzyżykami i szyszkami, które przypinano do ciasta przy pomocy święconej wierzby (maleńkiego patyczka). Jeśli nie przypinano krzyżyków i szyszek, to próbowano włożyć od góry gałązkę, aby „czapka” nie wsunęła się w paski (Меркулова, Як святкували...).

Do przygotowania ciasta na paski wykorzystywano dużą glinianą makutrę (donicę). Oprócz maku try przygotowano wcześniej również formy do pieczenia – gliniane paskowniki. Naczynia z XIX wieku można obejrzeć w Muzeum Historycznym Charkowa im. Mykoły Sumcowa. Takich paskowników różnej wielkości mogło być 10–15, bo paski pieczono dla każdego członka rodziny, małe dla dzieci i jedną dużą dla całej rodziny. Upieczenie dobrej

paski uznawano za najważniejsze wydarzenie Wętykodnia, gdyż po tym, jaka będzie ona po wypieku, wrócono los całej rodziny. Przyszłość przewidywano według wyglądu paski: jeśli paska z boku trochę pęknie – czeka cię dobro i bogactwo. Jeśli pęknie na górze – spodziewaj się kłopotów w ciągu roku. A jeśli opadnie – będzie choroba w tym roku. Upięczenie paski było uważane za święte działanie (священнодійство).

Etnograf Mykoła Sumcow (1854–1922) opisał sposób wypieku paski na Słobożańszczyźnie: „Mariusia upiekła paskę, włożyła do niej jajka, imbir, szafran i paska była upieczona, wysoka i żółta, jeszcze w piecu się zarumieniona. W wętykodni poranek zaniósł do cerkwi do poświęcenia paskę, pieczonego baranka, prosiaka, kiełbasę, kilkanaście kraszanek, boczku i kostkę soli, i na cmentarzu wraz z innymi w rzędzie rozesała chustkę, wszystko to ładniutko rozłożyła” (Сумцов 1918: 106). Konsekrowaną paskę pozostawiono aż do dnia pamięci (pomynalni dni – ukr.), które przypadają tydzień po Wętykodniu, i dopiero wtedy ją krojono i częstowano ludzi.

Pisanka, kraszanka, malowane jajo

Kult malowanych jaj jest znany wielu narodom świata. Przed przyjęciem chrześcijaństwa Słowianie mieli zwyczaj: wiosną, kiedy świętowano nadejście nowego roku, dawali sobie nawzajem „czerwone jaja” (kraszanki). W Ukrainie „czerwone jaja” darowano na znak rozejmu, życząc zdrowia i szczęścia. Wierzono, że ratują one od złych słów (przekleństw, klątw, złorzeczeń) i wszelkich chorób. Na Słobożańszczyźnie pan młody darował narzeczonej jajo wętykodnie jako symbol szczęśliwego życia (Бердута 2001: 21).

Dodajmy jeszcze, że pierwsze jaja gliniane i kamienne, z ozdobami geometrycznymi lub roślinnymi, odkryte na terenie Ukrainy przez archeologów są datowane na XI–XII wiek. Faliste linie (symbol wody), kółka (znaki słoneczne) i romby (symbole zasianego pola) przedstawione na pisankach uosabiały bezgraniczny kosmos. Za pomocą tej magicznej symboliki człowiek starał się pokonać zjawiska natury (Ліманська 2008: 62).

Malowane jaja – symbol święta

Mykoła Sumcow odnotował: „Pisanka to najlepsza ozdoba święta. Pisanki na Słobożańszczyźnie nie są tak jaskrawe jak na Wołyniu i Podolu. Często rysunki mają swoje własne, osobne nazwy, na przykład nieskończoność, gdy linie zwijają się wokół jajka



Pysanky na Słobożańszczyźnie, początek XX w., źródło: Сумцов Микола, 1918: Слобожане: Історико-етнографічна розвідка, Харків.



Dekoracje dla domu. Rekonstrukcja „Teremok” i „Biznyk”, rejon łozivski obwód charkowski, źródło: Меркулова Наталя, Як святкували Великдень на Харківщині 100 років тому, <https://gromada.group/news/statti/24670-yak-svyatkuvali-velikden-na-harkivshini-100-rokiv-tomu>



Wełykdeń na Połtawszczyźnie, początek XX w., źródło: <https://localhistory.org.ua/texts/statti/shcho-sviatili-ukrayintsi-na-velikden/> (za zgodą Redakcji czasopisma)

w taki sposób, że nie można znaleźć końca; grabie, rak, słonecznik, kogut, grzebień. Farbę wydobywano z roślin lokalnych. Dziewczęta prezentowały pisanki swoim chłopcom, dzieci ojcom i matkom, szanowanym ludziom na wsi, księdzu (świaszczennyku) pod-

czas poświęcenia paski. Dzieci na Wełykdeń robią zabawki z pisanek” (Сумцов 1918: 108–109).

Istnieją różne legendy, skąd wzięły się zwyczaj rysowania pisanek. I dalej etnograf przytoczył miejscową legendę o pochodzeniu pisanki: „Mówią, że gdy Chrystus niósł krzyż na Golgotę, było mu bardzo trudno i dobry człowiek, który niósł na rynek w koszyku jaja na sprzedaż, zlitował się nad nim, położył kosz na ziemi i sam pobiegł, aby pomóc Chrystusowi nieść krzyż. Kiedy wrócił do koszyka, to zobaczył, że wszystkie jaja stały się kraszankami (w czerwonym koloru) i pisankami (pomalowane na różne kolory)” (Сумцов 1918: 109).

Przygotowania do uroczystości

Wełykdeń, jak wiadomo, jest poprzedzony surowym Wielkim Postem, który trwa do Tygodnia Wełykodniego. Najważniejszą rzeczą było przestrzeganie postu w ostatnim tygodniu, który nazywa się Wełykodnim, czyli Tygodniem Białym lub Jasnym. Haftowane ręczniki, które zdobiły domy, trzeba było koniecznie prać. Na Wełykdeń haftowano także nowe ręczniki, którymi dekorowano dom. W celu dekorowania wykorzystano kraszanki lub pisanki, też były zrobione ze słomy pająki i domki. Pokuć (**Święty Kąć**) była szczególnie udekorowana. Robiono też wycinanki w formie kwiatów lub



Pysanki, źródło: Меркулова Наталія, *Як святкували Великдень на Харківщині 100 років тому*, <https://gromada.group/news/statti/24670-yak-svyatkuvali-velikden-na-harkivshini-100-rokiv-tomu>

wzorów i wieszano je na sznurkach w całym domu, a w szczególności na swatoku – belce podtrzymującej strop domu.

W sobotę przed Wełykodniem mieszkańcy Słobożańszczyzny starali się nie jeść nic, tylko pić wodę, a już wieczorem szli do cerkwi i koniecznie zabierali ze sobą świecę.

Wełykdeń

Dawniej na Słobożańszczyźnie obchodzono święto w następujący sposób: gdy tylko zadzwoniły dzwony, do cerkwi zaczęli schodzić się i zjeżdżać ludzie ze wszystkich stron wsi lub miasta – niektórzy pieszo, inni wozami. Zabierano ze sobą także dzieci, prawie nikt nie zostawał w domu. Ci, dla których brakowało miejsca w cerkwi, stali na zewnątrz i słuchali nabożeństwa. Wszyscy czekali na moment, kiedy pokropią swoje koszyki wielkanocne wodą święconą i powiedzą: – Chrystus Zmartwychwstał! (Chrystos woskres! – ukr.) A lud odpowiadał chórem: – Prawdziwie zmartwychwstał (Woistynu woskres! – ukr.)

Umyć twarz kraszanką lub przebiśnigami

Po konsekracji Słobożanie szli do domów, aby po raz pierwszy po poście zjeść stawy mięsne – rozhowlatysia (розговлятися – ukr.). Istniała też inna ciekawa tradycja – „umywanie jajem”. „Najlepsze święcone jajko wkładano do czystego pojemnika z czystą wodą i cała rodzina musiała się nim umyć, aby upiększyć sobie twarz, zwłaszcza dziewczęta na wydaniu. Wszyscy umywali twarz tym jajkiem wełykodnim. W powiecie kupiańskim wrzucali do wody przebiśniegi i umywali się przebiśnigami” (Меркулова, Як святкували...).

Następnie rodzina siadała za stół, aby poczęstować się daniami świątecznymi, jak mówiono – rozhowlatysia. Przed rozpoczęciem posiłku wełykodniego gospodarz czytał *Ojciec Nasz* (*Modlitwa Pańska*), wszyscy czytali po nim, a potem najpierw jedli paskę lub kraszankę, zależało to od zwyczaju rodzinnego. Konsekrowaną kraszankę rozdawano wszystkim członkom rodziny. Skorupki konsekrowanych malowanych jaj w żadnym przypadku nigdy nie wyrzucano. Albo były one zakopywane w ziemi, żeby było dobre żniwo, albo oddawane kurom, żeby dobrze się nosły, albo wkładano je do rzeki, chwaląc Zmartwychwstanie Chrystusa. Wszyscy mieli „chrystosatysia”, czyli powitać się specjalnymi słowami. Zamiast: „Dzień dobry!” mówili: „Chrystus zmartwychwstał!”.



Pasky z charkowskiej kolekcji prof. Lubow Żwanko z lat 2020–2021

Ubrania wełykodnie

W Wełykdeń ubierano się świątecznie – w stroje ludowe. Do tego dnia starano się wyhaftować nową koszulę, a jeśli święto przypadało w czasie, gdy wszystko już kwitło, dziewczyny zakładały na głowy wianki z wiosennych kwiatów. Haftowana koszula była długa, na nią ubierano szeroką, czyli obfitą, jak ją nazywano, spódnicę obszytą zakładkami z aksamitu. Spódnice były zdobione kolorowymi wstążkami dekoracyjnymi szwami. Panie w starszym wieku również zakładały na spódnicę fartuch – biały, haftowany. Zawsze noszono naszyjnik, dukachi – metalową biżuterię damską w postaci monety w kształcie medalu z metalową kokardką, którą przyczepiano do wstążki lub naszyjnika (Меркулова, Як святкували...).



Mapa Dzikich Pól, inaczej Ukrainy, z przyległymi prowincjami. Sporządzona dla dobra publicznego przez Wilhelma de Beauplana w 1648 w Gdańsku na polecenie Władysława IV, Króla Polski, źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Guillaume_Le_Vasseur_de_Beauplan#/media/Plik:Beauplan_Poland_XVII_map.jpg (Domena publiczna)

Trzeci Wetykdeń, który przyjdzie do Ukrainy 5 maja 2024 roku, Ukraińcy będą obchodzić zapewne w stanie wojny i modlić się do Pana o zwycięstwo Sił Zbrojnych Ukrainy nad Rosją, którą wiele narodów świata postrzega jako uosobienie absolutnego zła, a zatem wroga cywilizacji ludzkiej. Wierzmy, że dobro zwycięży, bo dobro jest miłością Boga. A kiedy jeszcze w nią wierzyć, jeśli nie w ten Wielki Dzień Zmartwychwstania Pańskiego!

Bibliografia

- Bердута Михайло, 2001: *Особливості обрядів та звичаїв Слобожанщини (XVIII–XIX ст.)*, Збірник наукових праць Харківського інституту соціального прогресу, вип. 6, с. 19–25.
- Жванко Любов, 2011: *Краєзнавство Слобожанщини: Навчальний посібник*, Харків 2011.
- Ліманська Ольга, 2008: *Давньоруська культура як основа формування традиційних свят*

- Слобожанщини*, Вісник Харківської державної академії дизайну і мистецтв, nr 4, с. 58–66.
- Меркулова Наталя, *Як святкували Великдень на Харківщині 100 років тому*, <https://gromada.group/news/statti/24670-yak-svyatkuvali-velikden-na-harkivshini-100-rokiv-tomu>
- Сумцов Микола, 1918: *Слобожане: Історико-етнографічна розвідка*, Харків.
- Żwanko Lubow, 2016: *Polonia Charkowa w XVIII-XIX wieku*, *Wiadomości Historyczne z Wiedzą o Społeczeństwie*, nr 6, s. 26–29.
- Багалій Дмитро, 1991: *Історія Слобідської України*, Харків.



Prof. dr hab. Lubow Żwanko — Centrum Muzealne Państwowego Uniwersytetu Biotechnologicznego w Charkowie, stypendystka program POLONISTA (NAWA) realizowanego w Instytucie Medycyny Weterynaryjnej UMK w Toruniu (2023–2024)

Konsultacje językowe: dr Marcin Lutomiński

Uniwersytecki zodiak



Z Moniką Kwiecińską-Zdrenką, Marcinem T. Zdrenką i Nikodemem Pręgowskim rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

Spotkanie autorskie w księgarni Kafka – od lewej: Nikodem Pręgowski, Marcin T. Zdrenka, Monika Kwiecińska-Zdrenka i prowadzący spotkanie pisarz Robert Małecki, autor kryminałów, absolwent UMK. Fot. Andrzej Romański

EWB – Zaczynamy od początku. Czym jest *Uniwersytecki zodiak*?

MTZ – To mała i niepozorna książeczka, która jest opisem dwunastu, a właściwie trzynastu astrologicznych figur. Te z kolei służą naszkicowaniu portretów ludzi nauki. Ponieważ rzecz chcieliśmy ująć w inny niż dotychczas sposób, postanowiliśmy stworzyć zupełnie nowe zodiakalne figury, które najtrafniej oddałyby różne formy akademickich charakterów. Dlatego zamiast Panny, Byka, Bliźniąt czy Ryb występują w niej Indor, Kwoka, Paw, Patyczak czy Niesporczak.

EWB – Opowiedzcie coś o nowych znakach? Możecie jakieś ulubione?

NP – Ja się dałem nabrać Mrówce. Wszyscy kojarzymy ją z pracowitością i umiejętnością współpracy, a okazało się, że w *Zodiaku* to złodziejka pomysłów własnych doktorantów lub kierownik grantu traktujący swoich współpracowników jak mrówka mszyce.

MKZ – Patyczak za to robi sympatyczne wrażenie. Cichy, niepozorny, zawsze umie się dostosować. Jest bardzo poręczny administracyjnie. Pasują na niego togi i birety w standardowym rozmiarze, a ponieważ nie wychyla się za bardzo z pracą naukową, nie stawia środowiska w trudnej sytuacji koleżeńskiej zazdrości.

MTZ – Mnie szczególną satysfakcję sprawiło zdemaskowanie ulubionych powiedzonek i cytata

tów poszczególnych figur. Mrówki na przykład cenią sobie zawołanie „Paryż wart jest mszycy”, zaś pokorne Woły kochają Mickiewicza i jego *Sonety krymskie*, a przy frazie „Jedźmy, nikt nie woła!” – płaczą. Ale największą frajdę sprawiło nam układanie horoskopów.

EWB – Coś tu chyba jednak jest nie tak. Napisać książkę o sprawach, które nie do końca mieszczą się w polu Waszej naukowej pracy. Zajmujecie się przecież na co dzień socjologią i filozofią, a Nikodem – projektowaniem graficznym. Co więcej, astrologia, do której się odwołujecie, o ile wiem, nie jest uznawana za naukę...

MKZ – Zaproponowane przez nas figury astrologiczne to jedynie sztafaż. Być może udzielił się nam nastrój Roku Kopernikańskiego – z całym szacunkiem dla naszego patrona. O wiele istotniejszy jest kryjący się za tymi postaciami obraz korozji charakterów ludzi nauki. A to jest zagadnienie zarówno socjologiczne – bo pochylamy się nad specyfiką grupy, jaką jest środowisko akademickie, jak i filozoficzno-etyczne – chodzi przecież o obyczaj, a właściwie ich upadek.

MTZ – W gruncie rzeczy z początkowo bardzo krotkocwilnego szkicu wyłania się dużo poważniejszy namysł nad kondycją akademii i ludzi, którzy są jej częścią. Jest on istotny także o tyle, że w jakiś sposób pisaliśmy o sobie i naszych bardzo osobistych doświadczeniach. Mocno wierzymy w akademię, a niektórzy z nas nie wyobrażają sobie nawet życia poza nią...

MKZ – A niektórzy i owszem (śmiech).

MTZ –... to jednak z naszych wieloletnich doświadczeń wynika, że nie wszystko, co się nam w akademii przydarzyło, jest dobre. Tu, jak sądzimy, nawiążemy nić porozumienia z czytelniczkami i czytelnikami, szczególnie jeśli będą to nasi bracia i siostry w nauce.

MKZ – Wprawdzie korzystaliśmy z własnych obserwacji i osobistych doświadczeń uniwersyteckich, to musimy zastrzec, że książka nie zawiera opisów autentycznych postaci. Z drugiej strony znalazły się w niej zdarzenia i anegdoty, które oczywiście miały miejsce. To raczej zestaw weberowskich „typów idealnych”. Skupiają one jak w so-

czewce sploty pewnych typowych cech, niestety najczęściej negatywnych. Marcin zauważył, że korpus naszych – i zapewne nie tylko naszych – doświadczeń akademickich nie składa się wyłącznie z pozytywnych elementów.

MTZ – Problem w tym, że ogólna kondycja akademii nie jest najlepsza. Truizmami są twierdzenia o permanentnym niedofinansowaniu nauki, pauperyzacji jej kadry, zarówno naukowej, jak i – szczególnie – administracyjnej, technicznej czy pomocniczej. Do tego dochodzi skrajna biurokracja, a nawet rodzaj biurokratycznego ogłupienia, stan permanentnych chaotycznych reform, rozdźwięk między wielkoskalowymi ambicjami i mocno ograniczonymi możliwościami. I jeszcze zwyczajne ludzkie przywary – przesadna ambicja, zawiść, nądęcie, pompatyczność, intryganctwo, nieufność, często nawet wrogość, które na uniwersytetach plenią się równie bujnie, jak w innych środowiskach...

MKZ – ... o ile nie bujniej!

MTZ – No właśnie! Dlatego warto postawić pytanie – czy w takich warunkach, prędzej czy później, nie musi dojść do zepsucia charakterów osób studiujących czy pracujących na uczelni czy szerzej – w nauce? Stawiamy takie pytanie i próbujemy na nie odpowiedzieć. Niestety twierdząco.

No i jeszcze jedno. Nie oszukujmy się – czytelniczki i czytelnicy o wiele chętniej sięgają po opisy cudzych wad niż po żywoty świętych. Oczywiście nie jest to cecha tylko naszych czasów. Spójrzmy chociażby na *Charaktery* Teofrasta, maksymy La Rochefaucaulda czy komedie Moliera. Dlatego też nasza książeczka musiała być tak nikczemna (śmiech).

MKZ – Jesteśmy przekonani, że dobrze poznaliśmy opisywaną materię, bo tak naprawdę w dużej części obserwujemy *spaskudzenie* naszych własnych charakterów. Tym bardziej zachęcamy wszystkich czytających, by potraktowali tekst nie jak paszkwil na takie czy inne, może nawet obce sobie środowisko, ale jak zwierciadło, w którym mogą się sami przejrzeć.

EWB – To wyjaśnia, dlaczego sami identyfikujecie się między innymi jako astrologiczne Wtyki Stra-

szuki. Jak piszecie, osoby urodzone pod tym znakiem to uniwersyteccy śledziennicy, zgorzknialcy i przepelnieni rezygnacją melancholicy, którzy nie wierzą już w uniwersytet i najchętniej rzuciliby to wszystko w diabły. A Pan, Panie Nikodemie? Pan mi wygląda na Pszczołą Miodną?

NP – Nie jestem pewien. Kiedy przyjąłem za prośbieniem Moniki i Marcina do zilustrowania tekstu, znalazłem w nim wiele z siebie. Wyraźnie dostrzegłem własne cechy, co gorsza – w więcej niż jednej zodiakalnej figurze. Obstawiałbym raczej – podobnie jak Monika i Marcin – trochę Wtyka Straszyka, ale też trochę Woła – zaprzęgniętego w jarzmo i ślepo ciągnącego swój wóz w kierunku wytyczonym przez poganiaczy. A może też trochę obnoszącego się z uniwersyteckim splendorem Pawia. Jeżeli kiedykolwiek byłem Pszczołą Miodną – tym ostatnim pozytywnym pracowitym i uczciwym znakiem, to pozostała mi po niej jedynie końcówka odwłoka.

MTZ – Ale dobrze się stało, że Nikodem tak sprawnie identyfikuje się z treściami książki. Pozwoliło mu to przygotować bardzo smakowite ilustracje każdego ze znaków. Musimy przyznać, że książka z rycinami Nikodema stała się czymś zupełnie nowym – dojrzała wręcz do miana atlasu. Teraz jeszcze łatwiej się w niej przejrzyć.

MKZ – I odkryć w sobie cechy, o które się nie podejrzewaliśmy.

NP – Taka jest rola ilustracji. Ale gdybym miał dodać coś osobistego, to powiedziałbym, że *Uniwersytecki zodiak* można w dalszym ciągu rozwijać. Jestem przekonany, że z powodzeniem udałoby się dopisać (i dorysować) kolejne tomy na podstawie dalszych obserwacji środowiska akademickiego, ale także na przykład artystycznego czy administracyjnego.

EWB – Nie obawialiście się skandalu? A może na niego liczyliście? Przecież niektóre osoby, mimo Waszych zastrzeżeń, rozpoznają się w tekście i mogą się poczuć dotknięte?

MKZ – Być może. Ale nie było naszym celem obrażanie czy urażanie kogokolwiek, to byłoby zbyt niskie. Mamy spaskudzone przez akademię charaktery, ale są jednak jakieś granice

(śmiej). Powtórzę: podsuwamy jedynie czytelnikom i czytelnikom zwierciadło. Dokładnie to samo, w które sami spoglądaliśmy przez dłuższy czas.

MTZ – Oczywiście, że tekst wzbudzi kontrowersje, a i może słuszną krytykę. Można by nam przecież zarzucić, że łatwo się wymądrzać i pisać paszkwile, a trudniej zaangażować w aktywną pracę na rzecz akademii; że łatwo jest być lożą szyderców podobnych do dwóch zgryźliwych starców z programu *Muppet Show*. Na swoją obronę możemy tylko powiedzieć, że obok zwykłej roboty naukowej przez wiele lat pełniliśmy także różne funkcje administracyjne (na przykład jako zastępcy dyrektorów Instytutów), zarządzaliśmy czasopismami naukowymi, organizowaliśmy wielkie wydarzenia kongresowe. Nie jesteśmy zatem chyba jedynie wygodnickimi szydercami w stylu Dydelfa z naszego opisu, który ma dwie lewe ręce, ale zawsze spada na cztery łapy.

EWB – Czy zgodzicie się, że mimo krotocwilnej formy ogólny wyraz Waszej książki jest jednak pesymistyczny? Przepelniony żółcią Wtyk Straszyk wygrywa?

MTZ – Niekoniecznie. Po pierwsze wciąż mamy ochotę i siły, by pisać takie książki i dobrze się przy tym bawić. Po drugie wciąż wierzymy w akademię i jej zdolność do samoodnowy. Po trzecie wreszcie uważamy, że ta książka, mimo że nietypowa, wciąż mieści się w szerokim kanonie akademickiej twórczości...

MKZ – ... ale musieliśmy ją wydać poza akademickim obiegiem...

NP – ... i chyba nie dostaniemy za nią żadnych ministerialnych punktów.

MKZ – (śmiej) To czyni ją przecież bardziej uniwersalną! Ale to już muszą ocenić czytelnicy. Być może nawet dopiszą do listy własne astrologiczne kreatury?

EWB – Gdybyście mieli jednym zdaniem zachęcić do lektury, to jak by ono brzmiało?

MKZ – Nie szukajcie w *Uniwersyteckim zodiaku* wyłącznie opisów mniej lub bardziej prawdziwych

postaci, ale raczej zachęty do przemyślenia swojej własnej postawy.

MTZ – ... ale też pośmiejcie się z nami; z nas i z siebie. I spróbujcie być trochę lepsi dla innych i siebie.

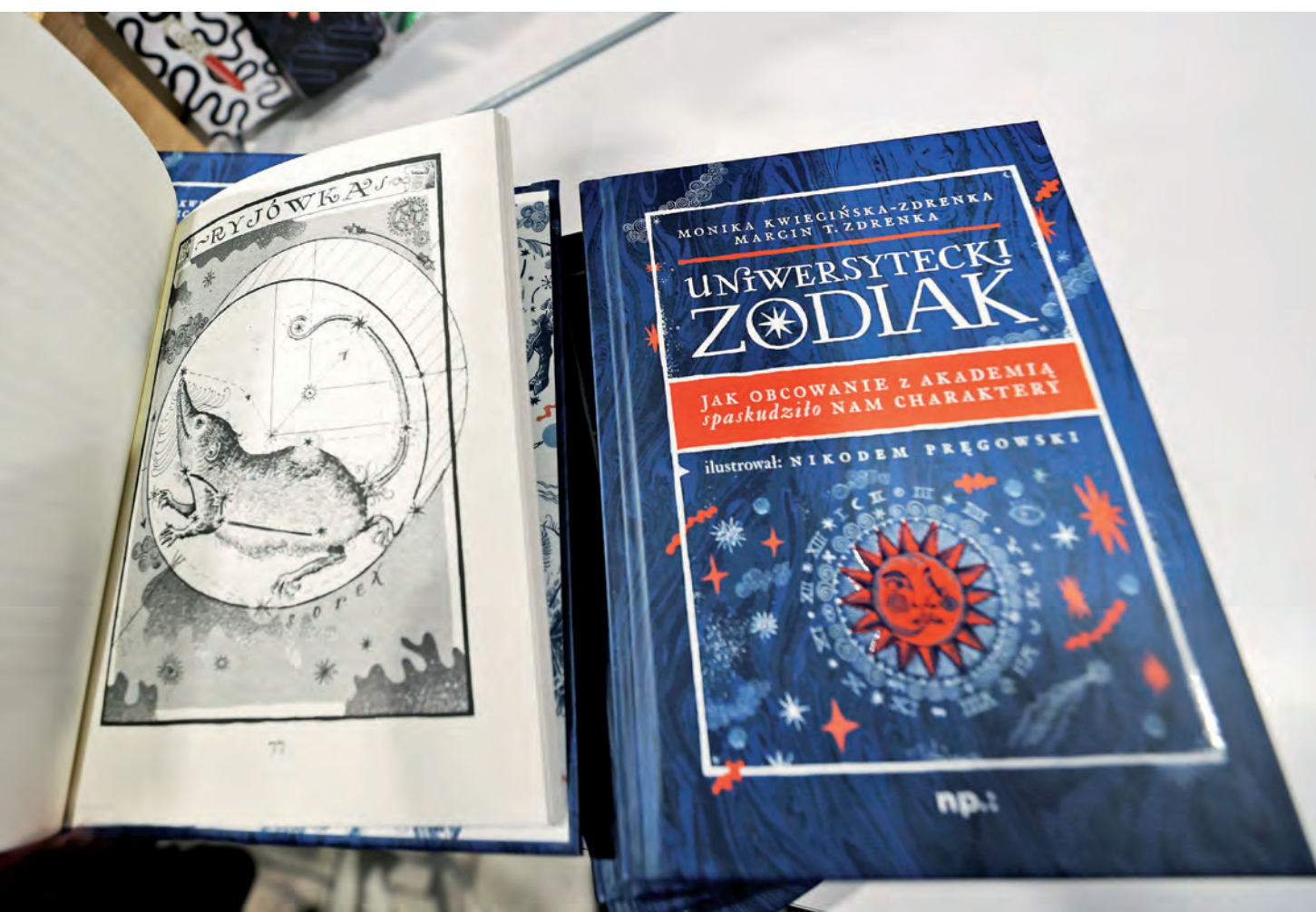
EWB – To dwa zdania.

MTZ – No proszę. Taka mała książka, a kwestie się mnożą (śmiech)!

NP – Książeczka nie jest może zbyt mądra, ale za to bardzo ładnie zilustrowana i wydana.

EWB – Dziękuję Wam za rozmowę.

Monika Kwiecińska-Zdrenka, Marcin T. Zdrenka, *Uniwersytecki zodiak. Jak akademia spaskudziła nam charakter*, ilustracje: Nikodem Pręgowski, Wydawnictwo Na Przykład, Toruń 2024.



Fot. Andrzej Romański



Chłopiec i czapla

Z dr. hab. Marcinem Lisieckim, prof. UMK o drugim Oskarze Hayao Miyazakiego i innych anime rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

Fot. Andrzej Romański

- To pierwszy japoński film anonimowany, jaki Pani widziała?

- Właściwie tak. Oglądałam oczywiście z moimi dziećmi rozmaite japońskie produkcje, ale *Chłopiec i czapla* to moje pierwsze „samodzielne” anime. Obejrzałam też, ale już potem, *Spirited Away*. *W krainie bogów*, film, za który Hayao Miyazaki dostał 10 lat temu pierwszego Oscara.

- I jak?

- Byłam zaskoczona, jak poważne treści te filmy poruszają, jednocześnie zadawałam sobie pytanie, dla kogo są tworzone, kto jest ich odbiorcą.

- To jest złożone pytanie. Ja pierwszy film ze Studia Ghibli świadomie obejrzałam bodaj w 1999 roku. To był *Mój sąsiad Totoro*. Oglądaliśmy go podczas lektoratów z języka japońskiego. Zrobił na mnie duże wrażenie. Pamiętam, że duże wrażenie zrobił na mnie także *Latający statek widmo*, który oglądałem pod koniec lat 80. No i była też *Pszczółka Maja*. Pewnie Pani to widziała.

- Oczywiście, nie wiedziałam tylko, że to serial japoński, myślałam, że czeski.

- To dlatego, że znamy czołówkę w wykonaniu Karela Gotta. Po polsku śpiewał ją Zbigniew Woźniak, chyba lepiej niż Gott. Przed *Totoro* niezbyt lubiłem filmy japońskie, wydawały mi się nieciekawe i jednostajne.

- Te filmy są też plastycznie bardzo proste czy wręcz uproszczone.

- Anime plastycznie mocno nawiązuje do animacji amerykańskich, głównie do stylistyki Disneya. Sposób animacji postaci, wygląd twarzy, sceneria – są bardzo podobne. Natomiast gdy pierwszy raz obejrzałem *Totoro*, a kilka lat później *Laputę. Latającą wyspę*, zacząłem na kolejne filmy Ghibli czekać. Skończyło się to wszystko tak, że napisałem kilka artykułów na ten temat, a wspólnie z Asią Zerembą-Penk książkę o Studiu Ghibli (to był zresztą jej pomysł). Od dwóch lat prowadzę też zajęcia dla studentów kulturoznawstwa i etnologii na temat Studia. Analizujemy problemy, które się w tych filmach pojawiają. Jednym z głównych, który mnie bardzo interesuje, jest dojrzewanie. Filmy ze Studia Ghibli są bardzo różne. Czasem dla małych dzieci, jak właśnie *Mój sąsiad Totoro*. Tu bohaterkami są dwie siostry, które spotykają ducha mieszkającego drzewie. Duch rzecz jasna zaczyna pomagać dziewczynkom w różnych sytuacjach. Jest to typowo japońskie odwołanie i częste występujące u Miyazakiego. Wszędzie mieszkają bóstwa (zwane w shintoizmie *kami*), całe otoczenie jest wypełnione różnymi nadnaturalnymi istotami, z którymi trzeba funkcjonować w harmonii. Ale są też filmy o wiele bardziej złożone, dotyczące problemów dorastającej młodzieży. Filmów animowanych o tej problematyce jest stosunkowo niewiele. Z reguły bohaterami są albo dzieci, albo dorośli. Problemy nastolatków czy dwudziestolatków są w tym gatunku rzadko podejmowane.

- W *Chłopcu i czapli* dojrzewanie jest bardzo bolesne.

- Tak, ale w filmach Studia Ghibli bywa różnie. Tworzy w nim także kilku innych reżyserów. Każdy z nich problemu dorastania dotyka w inny sposób. Miyazaki wplata do swoich filmów wiele wątków osobistych. W *Chłopcu i czapli* ojciec Mahita pro-

dukuje samoloty, tak jak ojciec Miyazakiego, który pracował w fabryce produkującej Mitsubishi A6M zwane Zero. Korpusy widoczne na filmie bardzo je przypominają. W *Zrywa się wiatr* pojawia się ten sam wątek. Główny bohater jest zafascynowany lotnictwem, chce zostać projektantem samolotów. Wybucho wojna, bohater może realizować swoją pasję tylko w jeden sposób – projektując samoloty bojowe. To też nawiązanie do ojca. Pojawia się tutaj zresztą kolejny wątek charakterystyczny dla twórczości Miyazakiego; jego filmy interpretowane są jako głęboko pacyfistyczne. Moim zdaniem z tym pacyfizmem Miyazakiego jest różnica. Niby pojawia się przesłanie, że nie wolno walczyć, a jednak ojciec zajmuje się produkcją samolotów do walki. Tematy autobiograficzne występują także w *Mój sąsiad Totoro* i dotyczą chorej matki.

- W *Chłopcu i czapli* pojawiają chyba wszystkie najważniejsze idee przypisywane Miyazakiemu, jednocześnie są tylko delikatnie zaznaczone. Na przykład właśnie wojna. Widzimy ją na początku filmu i przynosi głównemu bohaterowi największą z możliwych strat – stratę matki. Ale potem tej wojny jakby nie ma, stanowi jedynie drobny kleks właśnie w postaci korpusów samolotów.

- Miyazaki urodził się w 1941 roku, miał niewiele lat, gdy wojna się skończyła. Raczej nie pamięta tego, co się działo po zrzuconiu bomb na Hiroszimę i Nagasaki. Ale wojenna trauma stała w tych filmach funkcjonuje, między innymi w obrazach wybuchów, pożarów, płonących miast. W *Zrywa się wiatr* jest zresztą nie tylko to, także trzęsienie ziemi w Tokio w 1923 roku, uznawane za jedną z największych w historii katastrof sejsmicznych. Miasto niemal doszczętnie spłonęło. Japończycy obliczają, że solidne trzęsienie ziemi zdarza się raz na sto lat. A więc teraz, już od jakiegoś czasu czekają na to kolejne uderzenie. Jest to bardzo traumatyczne.

- Niewyobrażalne. Z tym, co się stało, można się jakoś po czasie oswoić, ale żyć w przekonaniu, że to się na pewno znowu stanie, to zupełnie coś innego.

- Kilka lat temu byłem na konferencji w Sendai. Obok tego miasta w 2014 roku przeszło kilkunastometrowe tsunami. Zmyło kilka wiosek. Kilkanaście tysięcy ciał do tej pory nie odnaleziono.

Ci ludzie mają traumę, ale jednocześnie świadomość, że jest to wpisane w ich otoczenie. My tego nie rozumiemy. Oni mają zarówno obawę przed takimi zjawiskami, jak i szacunek do nich.

- Cywilizacja zachodnia jest na etapie odwrotu od tego, co zrobiliśmy naturze. Traktujemy przy tym naturę być może w nieco sentymentalny sposób. Japończycy postrzegają naturę także jako coś wrogiego, coś, co może zabić.

- Postrzegają naturę ambiwalentnie. W *Spirited away* są bóstwa jednocześnie negatywne i pozytywne. Na przykład bóg odoru, starucha Yubaba czy bóg rzeki, który potrafi zarówno porwać, jak i uratować. Zachowanie *kami* zależy od tego, jak się do nich podchodzi. To jest zupełnie inny niż nasz stosunek do przyrody. Bo ona stanowi w Japonii stałe i realne zagrożenie. Z którym trzeba żyć. Widać to bardzo wyraźnie w ich folklorze.

- W jakim stopniu przekonanie o boskiej naturze przyrody – jako bytu myślącego i czującego – jest żywe we współczesnej Japonii?

- Powiedzieliśmy o dojrzewaniu u Miyazakiego, pacyfizmie, trzeba teraz dodać do tego ekologizm. I u niego, i u innych reżyserów Studia Ghibli pojawia się często motyw dewastacji Japonii. Od okresu Meiji zaczęto budować kopalnie, zanieczyszczać rzeki, jeziora, pojawiło się też wiele chorób wynikających z zanieczyszczenia środowiska. To dzieje się do dziś. Japończycy są w stanie zniszczyć czy przesunąć góry, żeby zbudować drogę. Japonia nie wygląda tak jak kiedyś. W *Totoro* przestrzenie są otwarte, bezkresne pola ryżowe i małe chatki, bowiem taka była Japonia w latach 50. XX wieku. W *Spirited away* są już domy, bardzo wysokie, bezimienne osiedla – to już późniejsza Japonia. Miyazaki wpisuje się w ideę *furusato*; miejsca zakorzenienia, miejsca bliskiego sercu.

- Mała ojczyzna?

- No, coś trochę podobnego. To nie musi być miejsce, z którego pochodzę, to może być miejsce, które dla siebie odkryję. W *Księżniczce Mononoke* zaś pojawia się motyw walki człowieka z przyrodą. Przyroda się broni. Chodzi przede wszystkim o to, by odnaleźć moment współdziałania. Z jednej strony ludzie muszą się rozwijać, muszą co chwilę

wynajdywać nowe rzeczy, ale odbywa się to zawsze kosztem czegoś, najczęściej przyrody i przestrzeni, ale też kosztem życia istot. Konkluzja jest taka – trzeba starać się to wypośrodkować, tak aby dało się żyć razem. Wracając do Pani pytania o współczesne wierzenia Japończyków. Nie wiem, czy są jakieś badania na ten temat. Ważna jest odpowiedź na pytanie, na ile to jest głębokie, a na ile to jest już tylko folklor. Ale w przestrzeni zarówno wiejskiej, jak i miejskiej te wierzenia są bardzo widoczne. Są znaki, że wkraczamy na teren *sacrum*, że jakiś obszar jest wyjątkowy, więc to po prostu widać. Nie jestem w stanie powiedzieć, na ile oni sami w to wierzą, natomiast na pewno przestrzegają pewnych reguł związanych z obecnością *kami*.

- Oglądając *Chłopca i czaplę*, można zadać sobie też pytanie, co tu jest częścią tych wierzeń, a co pomysłem Miyazakiego. Shintoizm ma jakąś swoją biblię czy mitologię?

- Jest wiele książek, które nawet tak są zatytułowane. Jednak są w nich wyobrażenia bóstw, które są wywodzone z najstarszego tekstu japońskiego – *Kojiki*. Dotyczą one samego cesarza i mitologii bogini słońca. Obecny cesarz jest jej 126 potomkiem. Jej wnuk zszedł na Ziemię i założył coś na kształt państwa. W *Kojiki* pojawia się też bóstwo wiatru i cała plejada innych bóstw. Ale to jest jedna opowieść. Poza nią są też rozmaite wersje lokalne, niepokrywające się z oficjalną wersją *Kojiki*, które zresztą poza bogactwem kulturowym miały charakter polityczny, miały uzasadniać i sankcjonować władzę cesarza.

- Czyli u Miyazakiego mogą pojawiać się realne wierzenia lokalne. Trudno to wszystko pooddziać ze względu na ich różnorodność i ogrom.

- Tak, w Japonii co wioska, to inne bóstwa, inna rzeka, inny kamień, inne drzewo. Ale schematy się powielają. To zawsze jest coś wysokiego, ogromnego lub starego. U nas właściwie też tak było; jak gdzieś rośla stara wierzba, to siedział w niej na przykład diabeł. Jednak w Japonii lokalne wierzenia są o wiele bardziej rozpowszechnione i popularne. Ludzie nimi żyją.

- Zaryzykowałby Pan twierdzenie, że Japończycy czy ogólnie Azjaci mają bogatszą duchowość niż ludzie Zachodu?

– Nie. Przede wszystkim Azja jest pod tym względem bardzo różnorodna. Inaczej wygląda to w Japonii, inaczej w Korei, a jeszcze inaczej w Chinach. Japonia jest specyficzna, bo tu nakładają się na siebie trzy religie; buddyzm, shinto i konfucjanizm. W Chinach było podobnie, tylko zamiast shinto był taoizm. W Korei też, ale tu z kolei bardzo silne są wierzenia szamańskie. Te różne wierzenia nakładają się. Tak jak u nas, gdzieś jest katolicyzm, ale żywe są też wierzenia lokalne, ludowe, także wcześniejsze słowiańskie, choćby Marzanna. Święto Matki Boskiej Zielnej nakłada się na wcześniejsze, pogańskie święto. Bardzo trudno to porównać i powiedzieć, że duchowość wschodnia jest bogatsza czy silniejsza niż nasza. Nachodzą przecież na to dodatkowo procesy sekularyzacyjne. Jednak z pewnością można powiedzieć, że tam duchowość jest zupełnie inna. Opowieści folklorystycznych jest bardzo dużo. I są one stale żywe i czytelne. U nas często nie wiadomo, o co w folklorze chodzi. Tak jest na przykład z motywem Baby Jagi, w którym mieszają się wątki niemieckie ze słowiańskimi. Jedna Baba Jaga ma chatkę z piernika, druga na kurzej nóżce, jedna jest czarownicą, druga potworem, który żywi się ludźmi. Potwór z lasu konsumujący zmarłych pojawia się też w folklorze chińskim i syberyjskim. Ale także w Ukrainie czy Białorusi. Nawet w Czechach mają takich wyobrażeń więcej niż u nas. Nie wiadomo dlaczego.

– Dziś już wiemy, że *Chłopiec i czapla* zdobył Oscara, ale recenzje o nim nie były wcześniej zbyt pochlebne.

– Z recenzjami bywa różnie. Bardzo krytykowano film Gorō, syna Hayao Miyazakiego, *Opowieści z Ziemiomorza*. Hayao Miyazaki starał się wiele lat o prawa do zekranizowania tego cyklu utworów Ursuli Le Guin. Gdy wreszcie je dostał, nie miał czasu na realizację i zlecił to synowi. Film był wyjątkowo mocno krytykowany. Chyba głównie dlatego, że nie realizował opowieści jeden do jednego. Ale moim zdaniem film jest ciekawy.

Zawiera wiele interesujących wątków kulturowych. Ojciec przyzwyczał nas do animacji amerykańskiej, disnejowskiej. Poza tym z rzadka pojawia się animacja komputerowa. Gorō zrobił film zupełnie inną techniką. A recenzenci jakoś nie mogli tego przełknąć.

Chłopiec i czapla rzeczywiście splata w sobie szereg rozmaitych, wcześniej wykorzystywanych przez reżysera wątków. Trudno się w tym wszystkim potapać. Być może trzeba by obejrzeć film kilka razy. A może właśnie to jest jego zaleta? Że stanowi niewyczerpalne źródło wątków, interpretacji, inspiracji? Że każdy znajdzie w nim coś, co akurat właśnie jego poruszy, zastanowi, nad czym będzie myślał i przeżywał to?

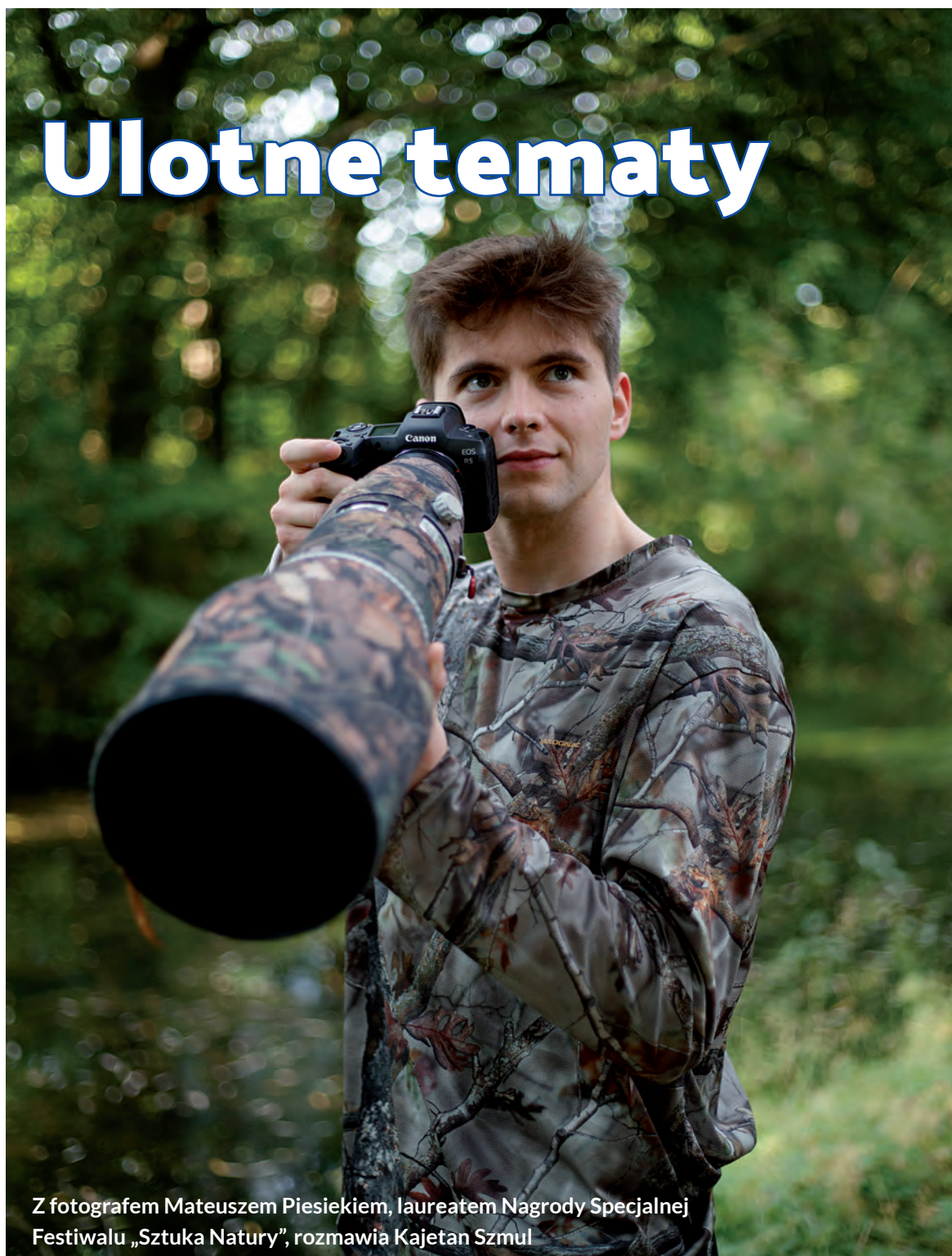
– Dla mnie takim ważnym wątkiem jest sposób, w jaki Mahito radzi sobie z traumą po stracie matki.

– Tak, Mahito dzięki porwaniu do świata bóstw ma szansę spotkać matkę jako dziewczynkę w swoim wieku, ma szansę poznać ją jako dziecko, zbliżyć się do niej, nawiązać głęboką przyjaźń. Dzięki temu zostaje ostatecznie przywrócony światu. W wielu swoich filmach Miyazaki pokazuje drogę wyjścia z traumy, drogę powolnego uświadamiania sobie, jak żyć dalej, sposób przepracowania własnego bólu poprzez odnalezienie bliskich i poprzez odnalezienie siebie samego. Wartość jego filmów polega też na tym, że jego bohaterami są zwykli (czy wręcz pospolici) ludzie. Nie rycerze, księżniczki, królowie, lwy czy ogry zamieszkujące bagna – jak w animacjach zachodnich. Bohaterowie i bohaterki Miyazakiego to my sami i my same.

– Dziękuję za rozmowę.

Dr hab. Marcin Lisiecki, prof. UMK – Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej UMK

Ulotne tematy



Z fotografem Mateuszem Piesikiem, laureatem Nagrody Specjalnej Festiwalu „Sztuka Natury”, rozmawia Kajetan Szmul

– Chciałbym zacząć od tego, co zwróciło moją szczególną uwagę podczas Twojego wystąpienia. Jednym z głównych punktów prelekcji, a może nawet jej głównym przesłaniem, była myśl, że w tych, wydawać by się mogło, banalnych miejscach, można odnaleźć coś niezwykłego, niecodziennego.

– Ja zauważyłem, że piękno można dostrzec w każdym gatunku zwierząt. Nie musi to być wcale jakiś superrzadki ptak, gdzie pół Polski idzie go obserwować. Nawet taki pospolity gołąb, obok którego każdy przechodzi obojętnie. Jednak, jeśli popatrzeć na niego w odpowiednim świetle, przyjrzeć



się mu z bliska, no to przecież gołębie się mienia, mają kryzę, która jest wielokolorowa: zielona, pomarańczowa, różowa, a nawet fioletowa. I jeśli tylko uda nam się taki fragment złapać w obiektywie, to każdemu gatunkowi można zrobić piękne zdjęcia. Dodatkowo w takich miejscach zazwyczaj nikt nie chce fotografować, więc nie jest tak, że czuję presję fotografów na jednego, konkretnego ptaka. Wtedy ja mogę te gołębie fotografować do woli. Mówię o gołębiach jako o pewnym przykładzie, bo przecież są też równie ciekawe ptaki: łabędzie, perkozy, szpaki – wszystkie mają w sobie coś pięknego! Zauważyłem też, że czym dłużej fotografuję takie pospolite ptaki, to ludzie, którzy na co dzień mieszkają w mieście i raczej nie zwracają na nie uwagi, po obejrzeniu moich zdjęć, piszą do mnie na przykład tak: „Mateusz, nie sądziłem, że te szpaki mogą być takie ładne”.

– Pochodzisz z Wrocławia. Jak wspominałeś wcześniej, jesteś blisko związany z tym miejscem i też tam znajdujesz odpowiednie przestrzenie, które mogą wpasować się w kadr.

– Tak, urodziłem się we Wrocławiu i tam też obecnie mieszkam. Okazuje się, że nawet w centrum dużego miasta można znaleźć ciekawe miejsca do fotografowania. Czasami wystarczy jedno małe jezioro na jakimś osiedlu albo jakiś krzaczek pomiędzy drogą, chodnikiem i jakimś budynkiem. Tam też kryją się ptaki, które znalazły sobie w tym miejscu swój mały kącik i tam żyją.

– Wspominasz o ptakach i to chyba właśnie ten gatunek zwierząt interesuje Cię najbardziej, przynajmniej fotograficznie. Skąd wzięła się w tobie fascynacja tymi latającymi, skrzydlatymi stworzeniami?

– Od kiedy pamiętam, interesowałem się przyrodą, gdy byłem mały, to zbierałem różnego rodzaju żuczki, żaby, jakieś węże... Obserwowałem je później z bliska, hodowałem. Lubiłem patrzeć, jak się rozwijają. Potem ta moja pasja do przyrody ukierunkowała się mocno w stronę ptaków. Dostałem pierwszy podręcznik do obserwowania ptaków i byłem zafascynowany tym, ile jest ich różnych rodzajów, gatunków, jak różnorodne jest ich ubarwienie czy też głosy. To właśnie wtedy zacząłem dokładnie uczyć się o ptakach i można powiedzieć, że stałem się takim „ornitologiem”, bo zacząłem odkrywać tereny obok mojego domu i po prostu obserwowałem, jakie gatunki ptaków tam występują. Sama fotografia natomiast przyszła później, kiedy już poznałem wszystkie gatunki ptaków, które występują w Polsce. Umialem je rozpoznawać nie tylko po głosie, ale też po sylwetce w locie.

– Czyli teraz można Cię przepytwać z tego na wyrywki?

– Tak, tak. Można.

– Jest to wiedza, która zapewne przydaje się nie tylko w twojej profesji, ale pewnie dałbyś sobie radę w jakimś programie, w którym pojawiłby się quiz wiedzy na temat ptaków.

– Kiedyś właśnie była taka śmieszna sytuacja. Miałem wtedy bodajże 12 lat, gdy były organizowane wycieczki fotograficzno-ornitologiczne, na które przyjeżdżali sami „starzy wyjadacze”, no jednym słowem: doświadczeni, zapaleni fotografowie przyrody. Ostatniego dnia naszych spacerów był organizowany konkurs rozpoznawania konkretnych gatunków ptaków. Organizatorzy pokazywali zdjęcia, na których były widoczne tylko ich nóżki albo jakieś pojedyncze skrzydło. Wziąłem udział w jednym z takich konkursów i udało mi się go wygrać, odpowiadając na wszystkie pytania. Nagrodą była wycieczka na Węgry. Byłem bardzo mocno „wkręcony” w to obserwowanie natury. Musiałem wiedzieć o ptakach wszystko, choćby, czym różni się piecuszek od pierwiosnka, jaki kolor nóg ma konkretny gatunek, czy taki ptak ma plamki na skrzydle, itp. Ta wiedza

później bardzo mi się przydała w fotografii ptaków, bo miałem dzięki temu podstawę – jak dany gatunek się zachowuje, gdzie występuje, w jaki sposób wygląda jego lot. Później przydało mi się to w robieniu zdjęć.

– Wspominasz, że wtedy udało Ci się zdobyć nagrodę za swoją wiedzę na temat ptaków, a teraz na festiwalu jest to nagroda specjalna, przyznana przez gremium. Są to osoby, które były nagradzane w ubiegłych edycjach. Myślę więc, że można śmiało powiedzieć, że dostajesz ją od praktyków zawodu fotografa. Jak odbierasz tego typu nagrody? Są dla Ciebie motywacją do dalszego rozwoju czy bardziej traktujesz je jako uhonorowanie tego, czym się zajmujesz?

– Każda nagroda jest dla mnie dużym wyróżnieniem i motywacją. Mówi mi, że zdjęcia, które robię, podobają się nie tylko mi, ale też innym. Czuję się bardzo zaszczycony, mogąc odebrać taką nagrodę na tym festiwalu. Szczególnie, że osoby, które odbierały ją w poprzednich latach, to moje inspiracje, zarówno w filmie, jak i w fotografii dzikiej przyrody. Jestem bardzo wdzięczny i bardzo się z tego cieszę. Natomiast też bardzo lubię jeździć na takie rozdania nagród. Sama nagroda jest jedną rzeczą, ale drugą jest możliwość spotkania się z tymi wszystkimi ludźmi, wymiana opinii, posłuchanie ich opowieści „od kuchni”. To po prostu jest coś, czego przez Internet, czy w ogóle w mediach, nie można zobaczyć. Na takich festiwalach, jak „Sztuka Natury”, można spotkać się oko w oko z inspiracjami.

– A w jaki sposób Ty spotykasz się oko w oko ze swoimi fotograficznymi „zdobycami”? Jak wygląda przygotowanie do takiej fotograficznej eskapady?

– Do konkretnego zdjęcia zawsze się dużo przygotowuję. Zazwyczaj jest tak, że dzikie zwierzęta w Polsce boją się ludzi. Moim zadaniem jest spowodowanie, żeby ten zwierzak nie uciekł i żeby zachowywał się naturalnie. Muszę się zamaskować w taki sposób, aby upodobnić do natury, żeby ten ptak lub ssak, nie miał kompletnie pojęcia o mojej obecności. I w takiej pozycji, pod siatką maskującą albo w tzw. czatowani, spędzam wiele godzin. Ważne jest, żeby przyjść do takiej kryjówki jeszcze przed wschodem słońca, kiedy jest całkowicie ciemno, aby nie spłoszyć żadnego ptaka. Wtedy już tylko trzeba



w bezruchu oczekiwać na rozwój wydarzeń. Przyroda jest jednak nieprzewidywalna. Często jest tak, że pomimo spędzenia długich godzin na obserwacji i rozpoznaniu terenu, tego dnia akurat nic do nas nie przyjdzie albo zmienią się warunki i nie uda mi się zrobić żadnego zdjęcia. To nie oznacza jednak, że mam się poddawać, wręcz przeciwnie, napędza mnie to, żeby jeszcze jeden raz tam pójść i spróbować, aż w końcu wszystko się zgra i uda mi się zrobić to jedno, wymarzone zdjęcie.

– To, co mnie zadziwia, to Twój młody wiek i liczba nagród oraz wyróżnień, które już udało Ci się zdobyć. Jak wyglądała twoja droga – od początków, powiedzmy: zakupu pierwszego aparatu, przez wszystkie próby i lekcje, aż do dzisiaj?

– Przede wszystkim, powiem wprost: kocham to, co robię. To jest moim numerem jeden: pasja do przyrody i pasja do uwieczniania tych krótkich



momentów i dzielenia się nimi z ludźmi. To jest to, co przekonuje mnie do wstawiania przed wschodem słońca, leżenia przez godziny w błocie, itd. Nagrody natomiast są bardzo miłą rzeczą, która mnie utwierdza w przekonaniu, że ma to sens i szczególnie na początku były dużą pomocą. Dzięki temu mogłem kupić sobie lepszy sprzęt i dalej się rozwijać.

– Dodajmy jeszcze, że jesteś samoukiem. Twoja szkoła, studia, nie pokrywają się zbytnio z fotografią, prawda?

– Tak, chociaż od zawsze też lubiłem fizykę, matematykę i informatykę. Później takie też wybrałem studia. Skończyłem kierunek automatyka i robotyka. Nigdy natomiast profesjonalnie nie uczyłem się fotografowania. Wszystko to było jedynie moją „zajawką” i nauką na własnych błędach. To też nie wyglądało tak, że od razu kupiłem sobie lustrzaną z teleobiektywem. Wszystko zaczęło się od prostej lornetki. Potem od małego aparaciku, który przystawiałem do tej lornetki, żeby tylko móc udokumentować jakiś rzadki gatunek ptaka, którego akurat dostrzegłem. Dopiero potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego zdjęcia, które ja robię, nie wyglądają tak, jak te, które oglądam w albumach czy w Internecie. Zacząłem więc czytać, oglądać różne poradniki, książki, fora internetowe. I w ten sposób na własnych błędach zacząłem uczyć się fotografii dzikiej przyrody.

– Skąd w takim razie obecnie czerpiesz najwięcej inspiracji?



– Głównie czerpię inspiracje z przebywania wśród przyrody. To jest tak, że to, co uda mi się sfotografować, to tylko mały wycinek tego, co wcześniej udało mi się zaobserwować. Kiedy jestem gdzieś w terenie, nawet bez aparatu, z samą lornetką lub na spacerze, już samo to dostarcza mi wiele wrażeń. Raz miałem taką sytuację, że gdy jechałem rowerem w parku, przeleciała nade mną sowa uszatka. Tak pięknie szybowała aleją dębową, że ten obraz wrył się w moją pamięć. To jest dla mnie inspiracja, kiedyś chciałbym odwzorować tę chwilę, którą wtedy widziałem. Ona się zdarzyła tylko raz, przez krótki moment, pomimo, że ja do tego samego parku jeździłem latami. Obserwuję też dużo fotografów na Instagramie, ogólnie w Internecie. Jest tak, że z każdego fotografa staram się też czerpać jakąś inspirację, dojść do tego, w jaki sposób on wykonał dane ujęcie. Nie naśladować, ale za pomocą moich rąk i mojego patrzenia na tę przyrodę, spróbować to wszystko połączyć i oddać na fotografii.

– Twoje zdjęcia noszą znamiona sztuki i śmiało mogą być sztuką nazwane. Nie jest to zwykłe rzemiosło, ale odpowiednia intuicja i dostosowanie kadru. W jaki sposób to przedstawiasz? Masz w głowie plan, jak chcesz ukazać naturę, czy może jest to – w jakimś stopniu – dzieło przypadku?

– Staram się, żeby te zdjęcia nie były tylko czysto dokumentacyjne, takie, na których jest sobie jeden gatunek w pełnym kadrze na rozmytym tle, tzw. zdjęcie atlasowe. Takie zdjęcia oczywiście też są fajne, ale jak już się dużo ich wykona, to niewiele się zmienia – może zmienić się gatunek ptaka albo gałązka, na której przesiaduje. Poza tym, całe zdjęcie jest takie samo. Kiedy zaczynałem, to też robiłem takie zdjęcia, bo interesowało mnie, że mogę pokazać detale, w zasadzie każde piórko jakiegoś gatunku. Natomiast później starałem się już bardziej przewidywać te zdjęcia i tak jak artysta, malarz spędza dużo czasu nad obrazem, to i ja starałem się wypracować kadry, które miałem w głowie.

– Dziękuję Ci za rozmowę i życzę wymarzonych kadrów oraz samych sukcesów.

– Ja też dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia Mateusz Piesiak

Sebastian Żurowski

Pięć procent

Według danych Narodowego Spisu Powszechnego z 2021 roku pięć procent osób zamieszkujących Polskę deklaruowało posługiwanie się w kontaktach domowych językiem innym niż polski. W liczbach bezwzględnych to ponad 1,7 miliona osób. A jeszcze dziesięć lat temu takich deklaracji (w spisie 2011 roku) było dwa razy mniej.

Nie jest zaskakujące, że bardzo liczna grupa mówiących w domu „nie po polsku” lub „nie tylko po polsku” to Ślązacy deklarujący używanie etnolektu śląskiego. 90 tys. to domowi użytkownicy języka kaszubskiego, 216 tys. niemieckiego i aż 737 tys. angielskiego. Te cztery najczęściej deklarowane języki to dokładnie cztery różne sytuacje. Język niemiecki to typowy język mniejszościowy, używany przez osoby, które mają więzi z narodem zamieszkującym sąsiedni kraj. Użytkownicy angielskiego to zwykle imigranci w pierwszym pokoleniu (czasem nawet czasowi), którzy w Polsce pracują np. w międzynarodowych korporacjach albo tworzą mieszane rodziny (tych jest zapewne z każdym rokiem coraz więcej). Język kaszubski to z kolei jedyny w Polsce tzw. język regionalny, który różni się od mniejszościowego tym, że nie ma żadnego innego kraju, w którym jest on używany, bo wykształcił się on na terenie, który od pokoleń zamieszkuje dana społeczność. Teoretycznie analogiczna sytuacja jest na Śląsku, ale z powodów przede wszystkim politycznych na razie państwo polskie ciągle odmawia śląskiemu statusu języka (stąd neutralne określenie *etnolekt*).

W 2011 roku ponad 50 tys. osób w sumie przyznaje się do używania w domu języków wschodniosłowiańskich. To zarówno mniejszość ukraińska i białoruska ze wschodnich krańców Polski, jak i potomkowie Ukraińców przesiedlonych po II wojnie światowej na tzw. ziemie odzyskane czy wreszcie nieliczna społeczność staroobrzędowców używających gwary rosyjskiej. W spisie z 2021 roku ta grupa to już 140 tys., ale te dane nie oddają sytuacji wywołanej dużą liczbą emigrantów, którzy przyjechali do Polski po inwazji Rosji na Ukrainę.



Tablica z modlitwą *Ojcze Nasz* w języku kaszubskim — wewnątrz Archikatedry Oliwskiej w Gdańsku (fot. wikipedia)

Kolejna grupa to ok. 110 tys. użytkowników języków romańskich (francuskiego, hiszpańskiego i włoskiego), czyli znów niewątpliwie stosunkowo „nowi” mieszkańcy naszego kraju (i znów jest to bardzo duży wzrost przez 10 lat, bo aż czterokrotny). W przeciwieństwie do Romów (7,2 tys.), Łemków (6,1 tys.) i Litwinów (5,4 tys.). GUS za

statystycznie istotny uznał jeszcze np. fakt, że prawie 4,7 tys. mieszkańców Polski AD 2021 to Wietnamczycy używający języka wietnamskiego. To, że mniejsze grupy językowe zebrano pod etykietką „inne” (9,2 tys.), sprawiło, że z pola widzenia zniknęły bardzo ciekawe zjawiska związane np. z etnolektem wilamowskim (językiem germańskim odmiennym od niemieckiego, który tradycyjnie używany był od XIII w. przez mieszkańców jednej wsi – Wilamowic pod Bielskiem-Białą) czy językiem pruskim (praktycznie wymarłym w XVII w., który współcześnie jest rewitalizowany przez grupę osób z różnych części Polski, Litwy, Rosji czy Niemiec). Rewitalizacja, czyli odtwarzanie i aktywne używanie wymarłego lub już dawno nieużywanego języka, to zjawisko coraz częstsze w Europie i w Polsce. Prócz rewitalizacji języka wilamowskiego i pruskiego takie działania w pewnym zakresie prowadzi się także w zakresie etnolektu mazurskiego oraz języka tatarskiego – polscy Tatarzy od pokoleń używają prawie wyłącznie języka polskiego, ale w różnym zakresie prowadzi się kursy języka tatarskiego dla członków tej społeczności.

Dane spisowe z 2021 roku dotyczące języków ojczystych po raz pierwszy objęły jeszcze jeden istotny aspekt polskiego pejzażu językowego – Polski Język Migowy. Szacowany, że PJM jest pierwszym językiem dla nawet 50 tys. Polaków, ale w spisie używanie go jako pierwszego w domu zadeklarowało nieco ponad 9 tys. Wcześniej tego języka nie było w statystykach – być może dlatego, że dopiero w 2011 roku uchwalono ustawę o języku migowym i innych środkach komunikowania się, w której wprost PJM definiuje się jako „język”.

Trudno Polskę nazwać krajem wielojęzycznym w takim sensie, w jakim jest nim np. Szwajcaria (nie mówiąc już o chociażby Indiach), ale warto zawsze pamiętać, że te pięć procent osób „niepolskojęzycznych” to wcale nie tak mało. I ta liczba powoli, ale rośnie.



Dr Sebastian Żurowski — Wydział Humanistyczny UMK

Sandra Bojsza, Adam Szydzik

KLAMRA, czyli o toruńskiej miłości do teatru alternatywnego

Zakończyła się 32. edycja Alternatywnych Spotkań Teatralnych KLAMRA, podczas której deski Akademickiego Centrum Kultury i Sztuki Od Nowa przekształcają się w deski sceny teatralnej.

Od 16 do 23 marca, przez osiem dni, widzowie mogli obejrzeć dziesięć przedstawień. Tegoroczny repertuar zapewniał mnogość form artystycznego wyrazu, co sprawiło, że każdy z oglądanych spektakli na długo pozostał się w pamięci. Wszechobecny był duch Szekspira oraz dyskurs feministyczny.

Spotkania pospektaklowe tradycyjnie poprowadzili studenci i studentki związani ze Studenckim Kołem Teatrolologicznym działającym przy Katedrze Kulturoznawstwa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Miały one formę wywiadów, podczas których aktorzy oraz twórcy spektakli wypowiadali się na tematy związane z procesami twórczymi. Klamrowa publiczność aktywnie uczestniczyła w tych spotkaniach, często pomimo ich późnej pory. Dla tych, którzy nie mogli osobiście wziąć w nich udziału, zostały przygotowane nagrania,



Teatr Wierszalin



Wrocławski Teatr tanca



Teatr Przedmieście



Laura Leish

dostępne na oficjalnych kanałach medialnych Od Nowy.

Poza spektaklami, w przestrzeni Galerii Dworzec Zachodni, odbył się także wernisaż Justyny Grzebieniowskiej-Wolskiej „Taniec emocji”. Artystka eksploruje motyw tańca i skupia się na uchwyceniu ciała w ruchu. Cekiny i brokat zdobiące płótna nadają dziełom unikatowości i przyciągają jeszcze większą uwagę. Wystawa połączona była z performancem, podczas którego twórczyni prac zaprezentowała pokaz improwizacji tanecznej, harmonizujący z obrazami wiszącymi na ścianach galerii. Wykorzystując muzykę i światło, stworzyła nowe, fascynujące doświadczenia wizualne i estetyczne. Wystawę można obejrzeć do 19 kwietnia.

Kolejnym wydarzeniem towarzyszącym był koncert jazzowy w wykonaniu zespołu Joanna Duda Trio. Znana z eksperymentalnego podejścia grupa zachwyciła publiczność, o czym świadczą długie owacje. Podczas koncertu można było dostrzec, że każdy z wykonawców działał na pozór indywidualnie, eksplorując swoje muzyczne możliwości. Było to jednak jedynie celowe zagranie muzyków, bowiem zespół działał jak zharmonizowana jedność, tworząc spójną całość dźwięków, która poruszała emocje słuchaczy. To właśnie synergia między mu-

zykami sprawiła, że koncert był niezapomnianym przeżyciem dla wszystkich obecnych.

Wśród licznych atrakcji festiwalowych ogromne zainteresowanie wzbudziły także pokazy kinowe organizowane przez Kino Niebieski Koczek. W trakcie pokazów zaprezentowano takie filmy jak „Dobrzy Nieznajomi” (reż. Andrew Haigh), oraz „Obsesja” (reż. Todd Haynes), które premiery miały w minionym roku. Oba te dzieła filmowe zyskały uznanie zarówno publiczności, jak i krytyków, co znalazło swoje potwierdzenie w postaci licznych nagród. Najważniejsze w tym wszystkim były jednak spektakle – od psychodelicznych i onirycznych widowisk po intymne monologi, festiwal oferował coś dla każdego. Każde przedstawienie było jak podróż w nieznaną. Aktorzy zaskakiwali publiczność talentami i pomysłami. Dla chcących uciec od teatralnej rutyny i posmakować czegoś nowego był to prawdziwy festiwal inspiracji i odkryć.

Spektaklem, który rozpoczął tegoroczną edycję, było „Wyzwolenie” teatru Wierszalin, w reżyserii Piotra Tomaszuka. Neoromantyczny dramat autorstwa Stanisława Wyspiańskiego został poddany Kantorowskiej transpozycji teatru śmierci. Teatr Wierszalin, znany z eksperymentalnego podejścia do klasyki i odważnego eksplorowania form teatralnych, idealnie wpisał się w klimat festiwalu, oferu-

jąc publiczności nie tylko przedstawienie, ale także prawdziwe przeżycie artystyczne.

Następnego dnia publiczność miała do czynienia ze wspianym pokazem Wrocławskiego Teatru Tańca wyreżyserowanym przez Bożenę Klimczak i nowym spektaklem, znanych wszystkim stałym bywalcom KLAMRY i miłośnikom teatralnego offu, Teatru Porywaczy Ciał. „Klatka z łez”, spektakl inspirowany życiem i twórczością Sarah Kane, jednej z czołowych przedstawicielek nurtu nowego brutalizmu, wywołał wielkie poruszenie wśród publiczności. Poprzez taniec i użycie parateatralnych form, performerom udało się perfekcyjnie oddać atmosferę kreowanych przez nią rzeczywistości. W przypadku „NUO”, spektaklu wyreżyserowanym przez Katarzynę Pawłowską, widzowie mieli do czynienia z surrealistyczną wizją świata i bohaterką przekraczającą granice teatralnego świata. Spektakl Pawłowskiej był dowodem na to, że teatralne środki wyrazu mogą być nieograniczone, a potencjał teatru do eksplorowania ludzkiej psychiki i emocji – niewyczerpany.

Trzeciego dnia festiwalu sceną zawładnęło wyjątkowe widowisko teatru tańca: „Praca” Zuzanny Kasprzyk i Andrzeja Molendy to nasączony symbo-

lami i metaforami spektakl przedstawiający relacje międzyludzkie poprzez dynamiczny taniec. Muzyka wykonywana na żywo dodatkowo potęgowała emocjonalny wydźwięk przedstawienia, tworząc unikatową atmosferę. Czwartego dnia Ewa Kaczmarek, występująca pod pseudonimem artystycznym Laura Leish, zaprezentowała wyjątkowy monodram poświęcony życiu gwiazdy i aktorki, ikony światowego teatru, Heleny Modrzejewskiej. Spektakl stanowił hołd dla wybitnej aktorki i kobiecej siły; mówił także o wyzwaniach, z jakimi borykają się wszyscy artyści próbujący połączyć życie prywatne i zawodowe.

Na półmetku festiwalu, Alex Freiheit wraz z Magdą Dubrowską zaskoczyły toruńską publiczność spektaklem sytuującym się na granicy performance’u. „O czynach niszczących opowieść” to widowisko dekonstruujące maskulinistyczny mit westernu i łamiące genderowe stereotypy. Przełamując konwencje, naigrywa się z teatralnej bufonady, mówiąc przy tym jednocześnie o uniwersalnej potrzebie wzajemnego zrozumienia i akceptacji.

W ostatnich dniach festiwalu widoczny był duży zwrot szekspirowski. Zaczęło się od Teatru Przedmieście i ich interpretacji klasycznej tragedii „Makbet – głosy z ciemności”. Scena została



Andrzej Chyra, Kasia Pietrzko, Andrzej Świąś i Maciej Kądziela



Andrzej Chyra, Trio Kasi Pietrzko i Maciej Kądziała

zdominowana przez naturalistyczną, leśną scenografię, która w połączeniu z zaawansowanymi technikami oświetleniowymi i dźwiękowymi (akompaniament bębna) budowała napięcie i tworzyła poczucie nieuchronnego przeznaczenia. „Skowyt” Marcina Tomkiela, który odbył się tego samego wieczoru (nieprzypadkowo – 21 marca przypada Światowy Dzień Lalkarstwa!), był równie trzymającym w napięciu przedstawieniem. Ten nowoczesny spektakl teatru lalek krytykował styl życia współczesnego człowieka i przyszłość, jaka go czeka, jeśli będzie podążał ścieżką, wykreowaną przez kapitalistyczny, i nastawiony na ciągłą konsumpcję system. Dźwięki i melodie, często eksperymentalne, współgrały z wizualną stroną spektaklu, wzmacniając jego dramatyzm i intensywność.

W ostatni dzień festiwalu Od Nowa gościła „Księżniczki” w nowej odsłonie Stowarzyszenia Teatralnego Chorea. Łamiąca stereotypy opowieść zachwyciła publiczność oryginalnym podejściem do znanych bajkowych postaci. Przedstawienie nie tylko ożywiło klasyczne historie, ale również wniosło nową, intrygującą perspektywę na temat siły i determinacji kobiecych bohaterek. Z kolei całkowicie nowe spojrzenie na Szekspira rzucił studencki teatr Teatr Standby Studio z Gdańska. Pokazał, że tragiczne wydarzenia z Weroni są uniwersalnym moty-

wem mogącym rozgrywać się w każdej rzeczywistości i czasie, bez względu na pochodzenie.

23 marca, w sobotę, festiwal został zwieńczony koncertem zespołu Kasia Pietrzko Trio i Maciej Kądziała z gościnnym udziałem Andrzeja Chyry. Motywem wspólnym dla wszystkich wykonawców była twórczość Cypriana Kamila Norwida.

Festiwal, poprzez tak różnorodne i wyraziste przedstawienia, stał się przestrzenią, w której teatr mógł eksperymentować, przekraczać ustalone normy i poszukiwać nowych środków wyrazu. Publiczność, angażując się w te artystyczne podróże, miała szansę nie tylko na chwilę ucieczki od codzienności, ale przede wszystkim na głębokie przeżycia estetyczne, które niewątpliwie zostaną z nią na długo. Od Nowa ponownie udowodniła, że KLAMRA, którą organizuje od ponad trzech dekad, jest żywym organizmem kultury, gdzie sztuka wchodzi w dialog z widzem, a teatralne tradycje są wciąż na nowo interpretowane i odkrywane.

Adam Szydzik – przewodniczący Studenckiego Koła Teatrolologicznego UMK, Sandra Bojsza – wiceprzewodnicząca Studenckiego Koła Teatrolologicznego UMK

Zdjęcia Tomasz Dorawa

32. ALTERNATYWNE SPOTKANIA TEATRALNE KLAMRA 2024

TORUŃ, AKADEMICKIE CENTRUM KULTURY I SZTUKI „OD NOWA”

KUJAWY I POMORZE

16 - 23 marca 2024



16 marca: TEATR WIERSZALIN, gość specjalny: LESZEK MĄDZIK ▪ 17 marca: WROCŁAWSKI TEATR TAŃCA, PORYWACZE CIAŁ
18 marca: ZUZANNA KASPRZYK / ANDRZEJ MOLENDĄ ▪ 19 marca: LAURA LEISH ▪ 20 marca: TEATR KOMUNA WARSZAWA
21 marca: TEATR PRZEDMIĘSCIE, MARCIN TOMKIEL ▪ 22 marca: STOWARZYSZENIE TEATRALNE CHOREA, TEATR STANDBY STUDIO
KONCERTY ▪ 20 marca: JOANNA DUDA TRIO ▪ 23 marca: KASIA PIETRZKO TRIO, MACIEJ KĄDZIĘŁA feat. ANDRZEJ CHYRA

www.klamra.umk.pl

MECENASI FESTIWALU



Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Dofinansowano z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



PATRONAT MEDIALNY



PARTNERZY FESTIWALU





● FILOLOGIA POLSKA

Ucz się z nami! Czytaj i pisz! Zestaw materiałów do nauki czytania i pisania. Część 2: Już czytam i piszę

Małgorzata Gębka-Wolak,

Iwona Kaproń-Charzyńska,

Joanna Kamper-Warejko

● FILOLOGIA POLSKA

Ucz się z nami! Czytaj i pisz! Zestaw materiałów do nauki czytania i pisania. Część 1: Poznaję litery

Małgorzata Gębka-Wolak,

Iwona Kaproń-Charzyńska,

Joanna Kamper-Warejko

● SOCJOLOGIA

Rekreacyjna rewolucja w grach wideo. Przekształcanie się gier wideo i ich graczy

Jesper Juul



Efektywne zarządzanie konfliktem i stresem zawodowym w organizacji

Katarzyna Białczyk

● PEDAGOGIKA

W zgodzie z naturą. Od integracji do integralności

Beata Przyborowska,

Piotr Błajet

● LITERATUROZNAWSTWO

Od „Bogurodzicy” po XXI stulecie. Historia Literatury polskiej dla cudzoziemców. Poziom B1.2

Krzysztof Obremski

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**

 **KOMPAS**
AGENCJA TURYSTYCZNA



kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl



Accredited
Agent

